Nr. 32. Lwów, Niedziela dnia 15. Kwietnia 1877 r. **Tom V.**



ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Nowy herostratyzm.

Konserwatyści nasi, jak zresztą całego świata, mają przeciw wszelkim postępowym dążeniom je den zawsze utarty frazes na ustach: iż dążenia te *burzą* wszystko, co przekazała przeszłość wiekowa, co narodowi jako tradycya jego świętem być powinno. Nie chodzi nam w tej chwili o polemikę z tym stereotypowo powtarzanym zarzutem, łatwym do usunięcia przez samo wskazanie na objawiające się w dziejach prawidło, mocą którego wszelka stagnacya jest początkiem konania, a powstawanie i zwycięstwo nowych prądów, bez pomiatania zasługami przeszłości, niezbędnym warunkiem życia. Chodziło nam tylko o przypomnienie tego konserwatywnego frazesu w chwili, kiedy mamy oczywisty przed sobą dowód, że ci, którzy nim przeciw postępowym szermują dążeniom, sami skorzy są do odgrywania roli Herostrata, do burzenia prawdziwych świętości narodu, i to nie w celu wzniesienia nowych ołtarzy na miejsce zburzonych, ale dla uczynienia zadość stronniczym swym niechęciom i namiętnościom, dla zaspokojenia swej pychy, nawet — dla kaprysu.

Taką to rolę odegrał obecnie profesor Stanisław hr. Tarnowski, swym czwartym w Warszawie odczytem „o początkach poezyi romantycznej w Polsce“.

W prostocie ducha myśleliśmy dotąd, że obok takiego mistrza pierwszej potęgi, jakim był Mickiewicz, mający już nie polskie tylko ale europejskie znaczenie, posiada naród polski w świątyni swej sławy liczny jeszcze szereg poetów, którymi by się każde obce piśmiennictwo poszczycić mogło. A myśląc tak, naród polski czcił ich i kochał, bo mu oni byli nie tylko minstrelami dźwięczne układającymi piosenki, ale w pieśniach ich znajdował niewyczerpane źródło miłości ojczyzny, pociechy w swej ciężkiej niedoli, wiary w swobodną swą przyszłość, siły moralnej do prac i walk dalszych. P. Tarnowski jednak nie może tak myśleć jak myśli tłum, co z płaczem odprowadzał do grobu zwłoki Goszczyńskiego, ściągając za to na siebie gromy Stańczyków, którzy gniewali się na policyę lwowską, że nie rozpędziła tego tłumu.... Pan Tarnowski musi być jako krytyk oryginalnym, jako hrabia czemś się od tłumu odróżnić. Jął więc w odczycie swym wymyślać pamięci poetów, którzy w czci i wdzięczności narodu stoją tak wysoko. Powiadamy „wymyślać“. Bo przecież krytyką tego nikt nie nazwie, gdy np. prelegent nazwał tych poetów „żabami, które nastawiają nogę gdy konia kują,“ bezmyślnymi pyszałkami, nieznośnymi natrętami, karłami. Sławnem jest jego „kłamiesz jak pies“ wystosowane do Wiktora Hugo, dowodzące elegancyi stylu i prawdziwie salonowego wysłowiania się p. hrabiego. Otóż w tym samym tonie wymyślał w Warszawie niemiłym mu poetom. Zamiast krytykować, łajał; zamiast rozumować unosił się gniewem; zamiast słuchaczy nauczać, zadziwiał ich śmiałością z jaką nieprzyzwoite przydomki przyczepiał do czczonych w narodzie imion. Wszystkie warszawskie dzienniki, wszyscy ztamtąd sprawozdawcy, zgadzają się w tem, że ton tych wycieczek był co najmniej nieprzyzwoity, wszystkie są tem w większym lub mniejszym stopniu oburzone.

Ale p. Tarnowski jest nietylko krytykiem, który w pysze swej strąca najlepszych poetów polskich na niziny rymotwórstwa Jest on zarazem członkiem stronnictwa swego, i o tem nie zapomina ani na chwilę. Profesor i krytyk nie przestaje stronnictwu swemu służyć tak, jak mu służy polityk i publicysta. Więc zrobił między poetami wybór, a podniosłszy tych, którzy stronniczym jego dążeniom przypadają do smaku, rzuca się na tych tylko, których pieśni były nam jakoby bojowe przygrywki, rozlegały się niegdyś na polach walk naszych, parły naród do czynu. Pol byłby może znalazł łaskę w jego oczach, gdyby nie był Januszem. Ale Słowacki i Goszczyński, ci, którzy w narodzie prócz szlachty uznawali i kochali lud, ci, którzy śmieli przypominać narodowi, że wolnym nie będzie póki nie naprawi złego, jakie ludowi temu wyrządziły wieki, ci którzy nigdy nie ugięli czoła przed blaskami bogactw i tytułów i wielkich nazwisk i po żadną nigdy nie sięgali łaskę, ci w oczach hrabiego krytyka są owemi „żabami“, pyszałkami i t. p. Krasiński wzniesiony do wyżyn, u których już tylko z Mickiewiczem spotkać się można — Słowacki i Goszczyński, to miernota!

Uznajemy uprawnienie wszelkiej rozumnej krytyki. Nie masz nazwiska choćby najsławniejszego w literaturze, któreby mogło przeciw niej zasłaniać. Niech krytyka będzie dla narodu drogoskazem, według którego ma się kierować w kraju swego piśmiennictwa, niech go uczy rozumieć dzieła swych mistrzów słowa. Niech podnosząc prawdziwe piękno a wytykając co je obraża, podnosi w narodzie poczucie piękna. I niech się w tej trudnej swej pracy od wypowiedzenia słowa zasłużonej nagany nie powstrzymuje żadnymi względami. Ale między taką krytyką a tem co p. Tarnowski w czwartym swym odczycie wypowiedział, taka jest różnica, jaka jest między opinią publiczną a ulicznymi gwary, między wykazywaniem ujemnych rysów w znakomitym zresztą posągu, a żakowskiem ciskaniem kamieniami na ten posąg.

Co zaś winę p. Tarnowskiego szczególnej podnosi, to okoliczność, iż mówił *w Warszawie*. W tej samej Warszawie, gdzie bystre oko moskiewskiego cenzora dostrzegło w dziełach potępionych przez p. Tarnowskiego poetów, ożywczych sił dla narodu polskiego i dzieła ich zakazało. W tej samej Warszawie, gdzie również bystre oko policyi moskiewskiej umiało wynaleźć a silne jej ramię porwać i w Sybir wysłać tych, co książki te posiadali lub rozszerzali. Wobec tych samych Moskali, którzy zawistnie patrzą na wszystko co uświetnia sławę narodu polskiego. Cóż za pociecha dla nich, gdy powaga literacka, profesor polskiej wszechnicy, członek polskiej akademii umiejętności uznał miernotami poetów, którymi się Polacy dotąd zawsze szczycili, i to miernotami takiemi, że się wobec nich nawet nie poczuł do obowiązku przyzwoitego wyrażania się w swej krytyce. Postąpił tak w Warszawie, gdzie nawet obrona napadniętych przez niego jest niemożliwą. Bo jakże wobec cenzury tamtejszej napisać, że Pieśń o ziemi *naszej* nie jest

„licho rymowaną geografią“, jak się raz p. hrabia w Krakowie wyraził, i żeśmy się z niej uczyli kochać tę ziemię? Jak można pisać o tem, jaka jest siła i jakie prawdziwe piękno w Kordjanie i Anhelim i księdzu Marku, i czem się to stało że Goszczyński w Panteonie sławy polskiej staje między pierwszymi? Z tego, co dzienniki warszawskie pisały o tym odczycie p. Tarnowskiego, widzimy jak niemożliwą tam jest taka obrona, jak się one musiały wić pod naciskiem cenzury, żeby czytelnik mógł chociażby domyśleć się tylko o co im właściwie chodzi! A napadać na gruncie, na którym obrona napadniętego jest dlatego niemożliwą, że policya i cenzura bronić go nie pozwala, to szanowny profesorze i potomku rycerzy bardzo rzecz nierycerska. A szkalować poetów naszych, wymyślać im i nieprzyzwoite im dawać przydomki, zamiast spokojnej krytyki, i czynić to wszystko wobec Moskali, którym poezya polska zawsze zawadzała i zawadza, to szanowny więźniu stanu z r. 1864, rzecz wcale nie polska. Pyszałkami nazwałeś tych, którzy siebie całych dali narodowi, niczego od niego nie żądając. Jakże nazwać tego, który w dumie swej stawia się na wysokości takiej, że z niej nie krytykuje ale lekceważy tych pracowników myśli, ale nimi pomiata, ale mówi o nich w sposób ubliżający zasłużonym ich nazwiskom?

Burzycielami nazywacie tych, którzy szanując dawną tradycyę pragną jednak, by naród nie zaskrzepł w formach dzisiejszemu stanowi ludzkości już nie odpowiednich. Ale obok tej dawnej tradycyi jest i nowsza, która nie mniej się uszanowania domaga. Jest to tradycya krwi przelanej za sprawę narodu, całego życia narodowi poświęconego, tradycya więziennych mąk i strasznej tułaczej tęsknoty. Tę uszanować należy tak samo jak tamtą, chociażby nawet ze względu na chwilowe położenie narodu inne drogi do wielkiego jego celu były dziś wskazane. Kto ją sobie lekceważy zasłużyłby chyba tylko na sławę — herostratową, jeżeliby mu się miało udać dzieło sponiewierania tego, co nam świętem było. Zbyt silną jest jednak wiara nasza w zdrowy instynkt narodu, ażebyśmy mogli przypuszczać iż się to dzieło powiedzie.

SZKLANNY CZŁOWIEK.

Nowella

J. ŁAMA.

(*Ciąg dalszy*).

Oprócz tej specyalnej fatalności, były to w ogóle czasy fatalne dla młodych ludzi z dobrego domu, którym los odmówił przyzwoitych środków utrzymania. Nie było jeszcze weszło w obyczaj, wstępować w służbę rządową — kilka prób niefortunnych przekonało bowiem szlachtę, że tylko Niemiec albo Czech dosłużyć się może wyższej rangi. Dzisiaj rzecz ma się inaczej, i widzimy młodzieńców noszących najpiękniejsze nazwiska w kraju, którzy mozolnem wysiadywaniem w biurach i czterma zaledwie kilkutygodniowemi urlopami do roku, dorabiają się karyery, na której końcu uśmiecha im się wolne pomieszkanie przy ulicy Czarneckiego, z szyldwachem pod oknami i szwajcarem w bramie. O władzach autonomicznych, o bankach i innych instytucyach, w którychby przez stosunki familijne otrzymać można pozycyą intratną, a tem samem, szanowaną, nie było jeszcze mowy. Trzy więc tylko drogi stały otworem Władysławowi: albo wziąć dzierżawę, albo ożenić się bogato, albo nakoniec wstąpić do wojska. Na nieszczęście, wszystkie te trzy sposoby do życia znalazły się zamkniętymi dla mojego przyjaciela, zbiegiem nieprzyjaznych okoliczności, które w krótkości opowiem.

Gdy z jednej strony, z przyczyn, które powyżej wyłuszczyłem, dalsze uczęszczanie do szkół bez oczywistej ujmy honoru było dla Władysława niemożliwem, a z drugiej, zajście z p. Leszczewskim dało niezbite dowody jego dojrzałości i całą rodzinę napełniło jak najpiękniejszemi nadziejami co do przyszłej karyery młodzieńca, przyjechał do miasta jego opiekun i szwagier, p. Ratatyński, ożeniony z panną Podborską, o dziesięć lat starszą od Władysława.

— Kochany Władziu — rzekł ten obywatel, muskając ogromne wąsy i gładząc krótko strzyżoną czuprynę — tu nie ma innej rady, jak tylko ta jedna, abyś wziął posesyą. Są właśnie Bryndzotłuki do wzięcia: tenuta roczna wynosi 6000 złr., drugie tyle potrzeba włożyć w inwentarz i w gorzelnię. Masz na to wprawdzie tylko pięć tysięcy, ale znajdziesz przecie kredyt, a zresztą gorzelnię można tymczasem wypuścić żydom albo sprzedać okowitę z góry. Święci garnków nie lepią!

— I wódki nie pędzą — zauważył Władysław, który słynął z przedwczesnego dowcipu.

— Jakże ci się podoba mój plan?

— Wybornie, znam Bryndzotłuki, wyborna gleba.

— Między nami mówiąc, trochę jałowa i zasiewy tegoroczne liche. Ale co tam, jeden rok można przebiedować, a zawsze lepiej mieć coś, niż nic. Cały sęk w tem, ażeby sąd pozwolił podnieść pieniądze z depozytu. Skoro przyjmujesz moj projekt, to chodź ze mną do konsyliarza, od ktorego zawisło zezwolenie.

Konsyliarzem tym był p. Rittner, jeden z tych Niemców, który urodziwszy się w naszym kraju i przyjąwszy nasz język jako swój ojczysty, kompromitują nas wobec naszej przeszłości. Mają oni wszelkie zewnętrzne cechy polskości, i przyznają się do niej chętnie, ale w duszy daremniebyś tam szukał uczuć szczeropolskich, uszanowania dla tradycyi przodków, dla zasad narodowych. Są to „obce żywioły“ w swojskiej skórze, jak tego dowodzi przyjęcie, którego p. Ratatyński i Władysław doznali u p. Rittnera. Prosił ich siadać, wysłuchał o co chodzi, wypytywał jak najgrzeczniej i jak najdokładniej o wszystkie szczegóły, a w końcu oświadczył:

— Panie dobrodzieju, póki ja będę referentem spraw małoletnich, sąd nie pozwoli nigdy na podniesienie depozytu. Gdy p. Władysław będzie pełnoletnim, ha, to będzie mógł dysponować swoim majątkiem podług upodobania.

— Jakto? Dlaczego? — zawołał pan Ratatyński, zrywając się z krzesła, cały zaperzony.

— Niech mię pan dobrodziej wysłucha cierpliwie. Prawa tutejsze, które polecają sądom współopiekę nad małoletnimi, wkładają na sędziego obowiązek równie święty, i cięższy jeszcze, niż ten, który ma rodzina. Rodzina może błądzić, najczęściej ze zbytku przywiązania, a czasem także, z pobudek mniej chwalebnych. Sędzia jest w tem położeniu, że może zapatrywać się chłodno i bez własnego interesu.

— *Mais, c'est une insolence!* — krzyknął w tej chwili Władysław — zarzucać memu szwagrowi, że mię chce okraść. Chodźmy ztąd natychmiast!

— Ja, ja mam własny interes w tem, aby Władysław wziął Bryndzotłuki w posesyą! Panie konsyliarzu, jak'em szlachcic...— wołał Ratatyński w największem oburzeniu.

— Moi panowie, to jest biuro sądowe, odparł zimno p. Rittner — i to co mówię, mówię z urzędu mego, jako sędzia. Ani francuskie wykrzykniki, ani gniewy nie maja tu miejsca.

Bądź co bądź, wyraz „urząd“ ma swój magiczny wpływ w naszym kraju, dzięki któremu pp. Ratatyński i Podborski uspokoili się i wysłuchali cierpliwie dalszych wywodów p. Rittnera, przyczem jeden gryzł wąsy, a drugi szukał ich ręką tam, gdzie kiedyś miały wyróść, ale gdzie ich jeszcze nie było.

— Rzecz się ma tak — ciągnął dalej konsyliarz. Dzierżawa, nawet przy znacznym kapitale wkładowym, i przy wielkiej znajomości rzeczy, jest przedsiębiorstwem ryzykownem, jak każde inne. Pański pupil nie ma najmniejszego doświadczenia, a kapitał jego nie wystarcza do tego interesu i najdalej za trzy lata zniknie bez śladu.

— Ale cóż będzie robił, co ma począć, panie konsyliarzu?

— Co? Kończyć szkoły, wstąpić do urzędu, albo starać się o adwokaturę...

— Z czegóż ma żyć tymczasem?

— Hm, z odsetków, które wynoszą 300 złr. rocznie. Przez piętnaście lat, będąc auskultantem, miałem tylko 200 złr. a żyłem!

Władysław tupnął niecierpliwie nogą, i tą tylko niemą oznaką odpowiedział na cudzoziemską impertynencyą, by szlachcic mógł żyć jak auskultant.

— Dobrze to panu konsyliarzowi mówić: niech kończy szkoły! Ależ bo z tymi dzisiejszymi profesorami, doprawdy wytrzymać trudno. Obchodzenie się ich jest w najwyższym stopniu grubiańskie, a młody człowiek musi przecież mieć jakieś uczucie honoru...

— Panie dobrodzieju, za moich czasów profesorowie używali instrumentów, od których honor musiałby był stłuc się natychmiast, gdyby był takiej słabej i szklannej kompleksyi. W szkole, jak w życiu, honor polega na wykonaniu obowiązków, na własnem przeświadczeniu, a nie na tem, czego doświadczamy od drugich. Wielkie mi rzeczy, że profesor natrze uszu smarkaczowi, gdy na to zasłużył!

— *C'est trop fort,* — zawołał Władysław — chodźmy! I wziąwszy pod rękę p. Ratatyńskiego, wyciągnął go na ulicę, nie dawszy mu nawet czasu pożegnać się z p. Rittnerem.

Była między nami narada, czyli nie wypadałoby Władysławowi wyzwać tego jegomości, ale uradziliśmy, że nie wypada,

i niebezpiecznie. Nastąpiły dalsze narady co do podniesienia depozytu, i wskutek nich przypuszczono jeszcze trzy szturmy do p. Rittnera. Pierwszą kolumną, wysłaną do ataku, był faktor żyd, zaopatrzony w nowiuteńką setkę, w monecie konwencyjnej. Byliśmy wszyscy pewni sukcesu—ale wbrew dość naturalnemu wówczas porządkowi rzeczy, i wbrew naszym oczekiwaniom, kolumna nasza wraz z setką została wyrzuconą za drzwi, i zagrożono jej, że gdyby ponowiła atak, to pójdzie do kozy. Następnie, spróbował raz jeszcze szczęścia p. Ratatyński, tym razem sam jeden, ale p. Rittner nie chciał z nim nawet i mówić, oświadczył tylko, że jeżeli ma interes do sądu, to niechaj go wniesie na pismie. Po wyczerpaniu tych sposobów, wszystkich oczy zwróciły się na panią Ptaszyńskę, ciotkę Władysława, i bliską krewnę pani Pstrzykalskiej, a tem samem i moją. Pani Ptaszyńska była to osoba nie pierwszej już wprawdzie młodości, ale zawsze jeszcze pełna wdzięku; o ile zaś tych ubyło jej z latami, o tyle przybyło na ich miejsce, przekonywającej, niewyczerpanej swady. Niejeden już interes daleko trudniejszy udało się przeprowadzić za jej pośrednictwem. Otóż — co pan powiesz na to — pani Ptaszyńska wróciła z wizyty u p. Rittnera tak oburzona, tak zirytowana, że domyśliliśmy się tylko niepowodzenia jej misyi, ale dopiero za parę dni dowiedzieliśmy się z jej ust bliższych szczegółów, i to nie wszystkich. Dosyć wszakże będzie powiedzieć, że między innemi godny ów reprezentant „obcych żywiołów“ oświadczył, że jeżeli młody człowiek nie ma znacznego majątku, a szkół dla braku talentu lub z innych powodów skończyć nie może, to najlepiej oddać go do rzemiosła, albo do handlu. Dodał nawet, że postąpił tak z własnym swoim synem!

Niechajże mi teraz kto wytłumaczy, czego sobie ani wówczas, ani później wytłumaczyć nie mogliśmy, jakim sposobem pogodzić tak oczywiste sprzeczności w naturze ludzkiej. Człowiek tak pospolitego, że już nie powiem, podłego sposobu myślenia, który z jednej strony nietylko własne dziecko oddaje do rzemieślnika na naukę i chelpi się tem cynicznie, ale nawet przypuszcza, że syn szlachecki mógłby także upaść tak nizko, a który z drugiej strony wyrzuca za drzwi żyda, gdy mu przynosi setkę! Jest to zagadka psychologiczna, dająca się chyba rozwiązać w ten sposób, że należało posłać *dwie* setki, ale jakże znowu człowiek rozsądny mógł żądać więcej, gdy od niego wymagano tylko, aby powiedzieć *tak*, zamiast *nie*? Zresztą faktor, któregośmy wzięli w indagacyą, pytał go wyraźnie, czy może żąda więcej, i właśnie wówczas Rittner zagroził mu kozą. Zagadka zostaje więc zagadką, i dam panu konia z rzędem, jeżeli mi ją pan rozwiążesz.

Ratatyński nie dał się odstraszyć temi trudnościami, muszę mu bowiem oddać sprawiedliwość, że był to człowiek niesłychanej energii. Za radą adwokata, podano do sądu o uznanie Władysława wieloletnim, poforsowano w apelacyi, w Wiedniu u kamery nadwornej, a ponieważ na szczęście wszyscy urzędnicy nie byli Rittnerami, więc sprawa poszła gładko, i jeszcze przed Sw. Janem Władysław otrzymał dekret, przyznający mu pełnoletność. Na nieszczęście, także przed Sw. Janem, kto inny wziął Bryndzotłuki w dzierżawę. Władysław wziął z depozytu swoich 5000 złr. i nie wiedział co z niemi począć. Tysiąc obrócił na to, by się wyekwipować, co się zaś tyczy reszty, to zdarzyło się na szczęście, że p. Ratatyńska potrzebowała właśnie udać się do wód za granicę, a Ratatyński chwilowo był w ambarasie pieniężnym, Władysław umieścił więc resztę swego kapitału u szwagra. Tym sposobem stało się, że nie wziął dzierżawy. Tym sposobem stało się także, że nie wstąpił do wojska, na walnej bowiem radzie familijnej, na której oprócz ciotek; Pstrzykalskiej i Ptaszyńskiej, także i ja byłem obecny, uchwalono, że najlepiej będzie, jeżeli Ratatyński weźmie młodzieńca z sobą do Barkocina.

Była w tem konspiracya przyjacielska i cioteczna, której się Władysław nie domyślał. (C. d. n)

KILKA SŁÓW

O MALARSTWIE

Odczyt Henryka Rodakowskiego.

(Dokończenie).

Nadużyję jeszcze waszej cierpliwości, by pomówić o tem gronie mistrzów, których rysownikami nazywamy, a raczej, by wykazać co ich znamionuje i różni od kolorystów, bo o nich samych ciągle mówimy. Jest to bowiem ten snop, którego kłosy sterczą po nad całym zbiorem artystycznym ludzkości. Są to malarze, którzy do tłumaczenia swych myśli i swego uczucia głównie formy używają. Widzieliśmy jakie nieprzełamane trudności kolorysći napotykają w niedostateczności palety, jak zapęd ich bujnej wyobraźni zatrzymuje ołowiany hamulec słabych środków, w porównaniu z przyrodą. Rysownicy są tym uprzywilejowanym zastępem, których myśl i uczucie znajduje tłumacza w formie, zdolnej być doprowadzoną do najwyższej doskonałości. Nic bowiem natura nie stworzyła piękniejszego nad Wenerę Medycejską, nic wspanialszego nad Wenerę z Milo.

A gladyator i Apollo Belwederski, to półbogowie niezrównanego uroku. Tak samo w malarstwie, forma u Perugina i Rafaela do nawyższego szczytu posunięta, a tytański Michał Anioł w swem ciągłem wysileniu, ku potędze co raz wyższej, nakreślił postacie, o których Goethe powiedział: „Że gdy z Syxtyńskiej kaplicy wyszedł, to mu się cała ludzkość małą wydała“.

Lecz jak każde powodzenie w tym świecie żąda ofiary, tak i oni, doskonałość formy, nieskazitelność linii, musieli okupić poświęceniem kolorytu i życia. Ciągłość linii bowiem, nieschwycony wdzięk zaokrąglenia formy i ruchu nie pozwalają na pewne urywania, na przypadkowe płaszczyzny i mozaikowe kształtowanie modelowania, jakiem życie u kolorystów przemawia.

Poczucie kolorytu wydaje się im podrzędnem, linia i forma są im jedynie godnymi środkami. Ale w ich duszy zrodziły się wzory człowiecze idealnej piękności i siły, a forma im dozwoliła, je przedstawić nam tak, jak im się w natchnieniu zjawiły.

Sztuka, którą znamy pod niewłaściwą nazwą malarstwa historycznego, a którą daleko odpowiedniej jest nazwać sztuką wielką, ma w sobie różne stopniowania, powiedziałbym całą hierarchię. Od obrazu nowoczesnego, który ma przedmiot historyczny, do kreacyi Leonarda da Vinci, lub Michała Anioła, jest jakby drabina Jakóba, której stopa ziemi się dotyka a szczyt gubi się w obłokach i świetle ideału. Różnica i stopniowanie leżą w sposobie pojmowania sztuki samej, w potędze artystycznej. W tym właśnie darze podniesienia do ideału przedmiotu traktowanego, w stylu. Cóż to jest styl w malarstwie?

W piśmiennictwie styl znaczy sposób wyrażania się, forma, jaką dajemy naszym myślom niezależnie od wartości myśli samej. Bo najgłębsze, najwspanialsze myśli, bywają czasem wyrażone stylem ciężkim twardym, gdy błahe i płytkie często nam są opowiadane stylem zachwycającym.

W malarstwie, w sztuce w ogóle, całkiem inne przywiązujemy znaczenie do słowa styl. Francuzi nawet nazywają najwyższą dążność malarstwa „la peinture de style“, malarstwo stylu. W sztuce styl nierozłączny jest od utworu samego. Nie forma tylko, ale myśl artystyczna sama, jak powstała w uczuciu malarza, ma, lub nie ma stylu. Styl, jest to poczucie wzniosłości, połączone z prostotą. Coś odpowiadającego epicznej wielkości w literaturze. Pozwólcie mi innym sposobem wytłumaczyć co to jest styl w malarstwie. Gdy się w pogodny dzień przypatrujemy gotyckiej wieży, podziwiamy tak całość, jak misterne szczegóły. Wróćmy do niej wieczorem, gdy zazdrośna noc, goniąc za słońcem, swą ciemną pomrokę przesunęła po błękicie, a w nieporównanej ciszy gwiazdy tylko tajemnicze swe zyrkanie zsyłają na ziemię. O ile wspanialej, poważniej i niezmiernym poetycznym urokiem okrążona, przedstawia nam się ta sama wieża.

Wrażenie to z bardzo prostej pochodzi przyczyny. Szczegóły znikają, całość większego nabiera znaczenia, filozoficznie mówiąc, generalizuje się wrażenie, i do prostego sprowadza się mianownika, wielkości. Oto coś podobnego do stylu!

Pokrewnego wrażenia doznajemy, gdy człowiek jest przedmiotem sztuki. Im więcej jego ogólne rysy schwycone, im mniej szczegóły podrzędne i przypadkowe nam przeszkadzają wielką całość olbrzymiej postaci objąć, tem wznioślejsze na nas robi wrażenie, tem idealniejszą jest kreacya, tem więcej ma stylu. To też nie wszystkie przedmioty równie się nadają do tej wzniosłej sztuki. Najodpowiedniejsze są osobistości i wypadki daleko od nas leżące; czy to, że przestrzeń czasu ich oddala, jak bohaterów starożytności, czy też że ich istota nad ludzkość ich wznosi, w nieosiągnione sfery, jak wszystkie religijne postacie. W tych bowiem uosobistnieniach wyobraźnia najmniej jest skrępowaną szczegółami lub dokładnością lokalną. Styl ten wzniosły głównie cechuje wielkich mistrzów sztuki, jak też wielkich poetów. Na tych zasadach w literaturze chrześcijańskiej Dante, Shakspeare, Goethe, stworzyli wybitne typy ludzkości, a Vinci, Perugino, Buonarotti i Sanzio podnieśli postać ludzką do najwyższej doskonałości ideału, najwznioślejszy posiadali styl.

Mała liczba kolorystów, najwięksi tylko pośród nich, wznieśli się do stylu. Tycyan, Verones, Tintoretto, Corregio, Velasquez, Rubens i Murillo, kiedy przeciwnie rysownikom, złote podwoje tego państwa, szeroko zostały otworzone. Oni też w tej dziedzinie najwyższej potęgi sztuki,

królują. Na wspaniałych tronach, laurem uwieńczeni, w olimpijskiej apoteozie, są przedmiotem naszego uwielbiania.

Przystępuję do zakończenia.

Widzieliśmy najpierw jak wieki swe piętno wybitnie na sztuce i artystach wyciskają. Widzieliśmy, że istotę sztuki stanowi uczucie i potęga artystyczna, a nie myśl sama, nie filozofia, nie umiejętność lub zapatrywanie historyczne, ale tylko poczucie piękna. Że techniką, jako bezpośrednim wypływem tego poczucia, malarz do nas przemawia. Że wyobraźnia kolorysty spętaną jest w swym zupełnym rozwoju, przez niedostateczność środków palety, że forma i linia dozwalają rysownikom odtworzyć w zupełności, w natchnieniu ujrzany obraz. Widzieliśmy, że styl jest najwyższym wyrazem ludzkiej sztuki, najszczytniejszą formą poczucia piękna. A widzieliśmy także, jakich geniuszów w różnych tych kierunkach chrześcijańska sztuka wydała, i jakie stworzyła arcydzieła.

Z tych postrzeżeń wynika najpierw, że się musimy trzymać przepisu ewangelii, która to mówi: „Dawajcie tedy co cesarskiego cesarzowi, a co boskiego Bogu.“ Więc hołd najwyższy, i to uwielbienie, które w uczuciu własnej nicości, ręką za czapkę chwyta, bo czuje, że stoi przed najwznioślejszym wyrazem ludzkości, jakby przed Dantem lub Galileuszem, to zachowajmy dla wielkich mistrzów odrodzenia. Podziwiajmy ich i uczmy się od nich z obawy, byśmy własnej godności nie ubliżyli nie umiejąc cenić tego, co najwięksi z nas stworzyli.

Gdy potem chcemy naszą sztukę sądzić, to się przypatrzmy najpierw, jaki wiek ją wydał, a zobaczymy pod jaką miarę ją postawić nam przypadnie. Wiek nasz nauką wszystko rozkłada co całe, a wszystko składa czego tylko szczątki pozostały. Jakże w stuleciu, które nietylko rzymski świat z gruzów Pompei i Kapitolu wykopało, które nietylko przedpotopowy świat odbudowało, a człowieka przedhistorycznego w swych palowych mieszkaniach z siekierą z krzemienia odkryło; ale które przestrzeń i czas wykreśliło z przeszkód ludzkiej wiedzy i ludzkiej czynności; jakże w takiem stuleciu i sztuka nie miałaby mieć ambicyi odkrycia czegoś? Lecz nie w dziedzinie marzeń i ideałów, bo tej się wrota zamknęły, ale na polu wskazanem przez umiejętność i prąd ogólny. To też się artyści namiętnie rzucili do poszukiwania dawnych strojów, dawnych sprzętów, broni dawnej i zwyczajów, i odkryli w sztuce: Prawdę lokalną!

Dalej odkryli, że mały obraz to towar, który dziś na wszystkie targi Europy i Ameryki z łatwością dostawić można. Że smak ogólny, temu lub owemu rodzajowi, większy zapewnia pokup. Że sztuka, to zarobek, droga do zebrania majątku! Więc też zalały małe rodzajowe obrazy cały świat chrześciański, a gdy się to wyzyskiwanie dostało w ręce przebiegłych kupców, to sztuka przyjęła zupełnie tok przemysłu. Oto cecha ogólna dzisiejszego malarstwa. Utylitaryzm przeniesiony w dziedzinę sztuki!

W poczuciu tego wzmagania się małej sztuki, parlamenta bogatych krajów, dbałe o rozwój umysłowy i artystyczny, wotują rocznie milionowe budżety, dla wielkiej sztuki przeznaczone, i utrzymują znacznym kosztem szkoły w Rzymie dla kształcenia na wielkich wzorach przyszłych mistrzów. Szczęściem, szlachetniejsze i bogaciej obdarzone natury stoją niezachwiane pośród tego łanu, uginającego się za powiewem mody, i są szczytnym dowodem, że wyższe dążności w sztuce jeszcze całkiem nie wyginęły.

Z dumą w tym zastępie liczymy naszych rodaków.

Odkąd wielcy mistrze odrodzenia na falach czasu odpłynęli, i jak oddalający się okręt tylko srebrzysty ślad po sobie zostawili, tak ich geniusz blado się tylko w naszych czasach odbija. Z nowoczesnych malarzy jeden tylko Jngres w apoteozie Homera i w portrecie Bertina podniósł się do potęgi epicznej.

Zastęp romantyków, mimo wielkich talentów jak Scheffer i Delaroche, mimo kolorystów jak Delacroix, Gallait i Robert Fleury nie zdołał się wznieść do wyżyn stylu. Niemiecka wielka sztuka naszego wieku wysilając się w głębokich filozoficznych pomysłach i uczonych zestawieniach, po za dziedziną sztuki malarstwa leżących, w tejże samej, z wyjątkiem kilku kompozycyj Kaulbacha, tylko do akademickiej doprowadziła doskonałości. W najnowszych czasach kierunek kolorystyczny owładnął prawie wszystkie szkoły, a głośna Makarta sława wywołuje wszędzie naśladowców.

Nasi artyści są także synami swego czasu. Jednakże, bez oparcia o budżet rządowy, utrzymują silną dłonią sztandar wielkiej sztuki, na wyżynach najwznioślejszych dążności wieku naszego. Z nadzwyczajną znajomością przeszłych czasów, odsłaniają nam w pysznych utworach dzieje narodu naszego. Wielkie czyny królów i kanclerzy, możnych i dzielnych magnatów w strojnych szatach, butną i bitną szlachtę i lud w patryotycznem wysileniu. W swem sercu bijącem miłością ojczyzny zgodnie z całym narodem czerpią ten zapał, który przezwycięża wszystkie zapory, by Europie obrazowo przedstawić, czem była owa Polska przodków naszych, a potęgą swą artystyczną, potrafili we wzniosłym realizmie złączyć różne prądy dzisiejszej sztuki do świetnego eklektyzmu. Myśl hetmańska ich obrazów głównie do nas przemawia, ale wartość artystyczna zdobyła im uznanie całego świata. Cieszmy się więc nimi i kochajmy ich. Kochajmy ich za to, że światu pokazują co za jędrna siła płynie w żyłach narodu, o którym dyplomacya zamilcza; kochajmy ich za to, że nam odtworzyli świat naszych bohaterów i hetmanów; kochajmy ich za to, że dzięki ich talentowi, Polacy dziś w sztuce narówno idą z pierwszymi narodami Europy, za to, że tak, jak anioł zmartwychwstania, swą trąbą wskrzesi wszystkie sumienia i wywoła zeznanie wszelkiej winy, tak oni swą sławą i świetną paletą wydzierają niechętnej nam Europie uznanie naszego istnienia, bo polskiej chwały artystycznej.

POWSTANIE POLSKIE
nad
BAJKAŁEM.

Z pamiętników naocznego świadka Z. O.

(Ciąg dalszy.)

Pod koniec 1865 r. mieściło się w Irkuckich więzieniach do 2,000 osób. Warunki miejscowe w niczem nie były lepszymi od tych, które w drodze na Sybir towarzyszyły. Dziennie płacono więźniom po 8 kopiejek, a wskutek drożyzny nagle powstałej z ogólnego nieurodzaju, płaca ta dzienna czy też żołd nie wystarczał na najniezbędniejsze potrzeby życia. Nic nie pomogło założenie braterskiej kasy zasilającej się procentami od pieniędzy nadsyłanych z kraju, jak również i od produktów przez więźniów spotrzebowanych, jak tytoń, herbata, bo zasób tych pieniędzy wynoszący w najwięcej kwitnącym stanie do 300 rubli, mógł tylko chorym nieco przynieść pomocy w pożywieniu. Ci zaś co zdrowymi byli, znajdowali się w nędzy sprzyjającej rozpanoszeniu się tyfusów i szkorbutu do tego stopnia, że w miesiącu grudniu 1865 r. i styczniu 1866 r. przeszło 300 więźniów umarło w szpitalu Irkuckim na miazmy azyatyckie.

Partye świeże więźniów coraz częściej nadchodziły z Europy, a kto ocalał w drodze, spodziewał się, że w Irkucku nie ujdzie zaguby i pozycya na miejscu stała się przykrzejszą niż w podróży, tam bowiem przynajmniej powietrza i ruchu było podostatkiem.

Moskale nagromadziwszy w jednem miejscu taką liczbę więźniów, poczęli się obawiać ich skupienia. W każdym ruchu więźnia podejrzywali buntowniczy poryw, zdawało im się, że w rysach każdego z nich widzą jakiś zamach, widmo trwogi owładnęło Moskali i czujność ich spotęgowaną została. Odtąd po nocach wojska otaczały więzienia, we dnie wzmacniano załogi; co chwila wpadali z nienacka to urzędnicy, to policya do wnętrza więzień, robiąc rewizye nieustające. Wyłapywano z pomiędzy więźniów niektórych stosownie do widzimisia policyi i wysyłano kibitkami gdzieś do innych punktów Syberyi. I nie było słuchu i wieści gdzie porwani przepadli!

Czy były powody do tej trwogi? Polacy przynajmniej swojem położeniem i zachowaniem się wcale takowych nie nasuwali... Nie mogli przecież lękać się ludzi, którzy żadnej siły w sobie rozwinąć nie potrafili, więcej widm niż ludzi. Jednakże groźnym był ten obraz widma! Duch rozćwiertowanej Polski przezierał z oczu każdego umierającego więźnia, a zobojętnienie żyjących strasznem wydawać się musiało w swojej bezwładności!

Rozhukany carat z milionami swych niewolników szalał i wściekłego pragnienia nie mógł zalać krwią tysięcy ofiar. Zdawało mu się, że Syberyi przepaści były dość obszerne, aby w nich wszystko pogrzebać co ideą wolności tchnęło! Obok Polaków nie szczędził, i swoich a na czele tego nielicznego zastępu na zawsze świecić będą hańbą Moskwie imiona Czernyszewskich, Sołowiejowiczów,*) którzy w lodach Syberyi zginęli za to, że pragnęli odrodzenia swego narodu!

Moskale syberyjscy bojąc się Polaków i swoich wygnańców bać się poczęli. Strachem przejmowała ich ta myśl, że i ich rodacy, cierpiąc wspólnie połączą się z Polakami i wspólnie działać zaczną. Wzajemna pressya tych obaw wywierana była przez rząd na mieszkańców, a przez tych na władze. Rozpuszczono pogłoski, że Polacy przygotowują się w więzieniach do ucieczki i do zrabowania i spalenia Irkucka. Niebawem wysłano deputacye tamtejszych kupców i kapitalistów, prowadzone przez gołowy (burmistrzów)

*) Sołowiejowicz w r. 1861 po skończeniu uniwersytetu opuścił Petersburg i wyjechał za granicę, gdzie przez lat 3 przebywając, pozawierał stosunki z rewolucyonistami Europy. Należał on do wszystkich socyalnych stowarzyszeń we Francyi, Włoszech i Szwajcaryi. Ztąd wielu miał znajomych Polaków, z którymi nawet łączyła go prawdziwa przyjaźń. W r. 1864 powrócił do Petersburga i tam z całym zapałem zabrał się do prac ekonomiczno-społecznych. Pragnął on rozbudzenia swego narodu z upadlającej go ciemnoty. Trzeci oddział tajnej policyi śledził starannie jego działania i nareszcie położył im tamę wysyłając go na Syberyę.

do gubernatorów Erna i Korsakowa, wzywając ich do jak najspieszniejszego wysłania Polaków z Irkucka, a rząd zamiast uspokoić ich, wzniecał jeszcze więcej strach paniczny swemi ostrożnościami i czujnością dziecinną.

Niedługo też i pierwsze tchnienia wiosny (r. 1866) rozbudziły życie w zamarłem otoczeniu, z niem zdawało się że i boleści muszą złagodnieć pod ciepłem promieni tego wspólnego słońca, które miłości ludzi i ich szczęściu przyświecać powinno! Pomimo jednakże odżycia przyrody czoła Sybiraków były posępniejsze i smutne im się nasuwały myśli. Ciągle stawały przed oczyma, strzecha domowa i kraj daleki, którego wielu już nie miało nigdy oglądać!

Wiedzieli więźniowie, że tej wiosny popędzą ich Moskale za Bajkał, do roboty drogi krugomorskiej, a ponieważ tam zostać mieli przez lato pod gołem niebem, więc to urozmaicone życie, zajęcie się stawianiem szałasów (bałaganów) z gałęzi i ziemi, służących do ich pomieszczenia, nęciło do siebie, i każdy dzień witany był z upragnieniem, gdyż zbliżała się chwila, w której opuścić się miało te mokre mury lochów, te groby własne przyjaciół i braci!

Jeszcze w wiezieniach w kraju, gdy wierzono silnie w to, że sprawa Polska przez Europę poparta, pod skrzydłami jej sprawiedliwości nie zaginie, kiedy jeszcze niemal każdy był pewny, że niedługo więzienia opróżnionemi zostaną, i że wszyscy co są w rękach moskiewskich zmianą okoliczności będą powołani do broni, o Syberyi lub długich więzach nikt nie chciał i myśleć! Pewność wywalczenia niepodległości dozwalała spokojnie patrzeć w przyszłość, lekceważąc znęcania się sądów inkwizycyjnych.

Ale czas mijając, zamiast przynieść ziszczenie błogich marzeń, sprowadzał coraz smutniejszą rzeczywistość. Więzienia przepełniały się, wtrącano w nie nietylko młodzież schwytaną w boju z bronią w ręku, ale spokojnych starców, kobiety, a nawet dzieci, ażeby z nich wydusić groźbami i biciem zeznania przeciw własnym rodzicom.*) Wówczas przekonano się o straszliwej prawdzie, rozczarowanie zajęło miejsce dawniejszego optymizmu i godzić się poczęto z tem, co musiało niedługo nastąpić. Nie było to jednakże pogodzenie się z losem wskutek utracenia siły fizycznej i moralnej, przeciwnie, zapas tych był znaczny i właśnie dla tego każdy zapragnął za jaką bądź cenę wydrzeć się z niewoli, by jeszcze stanąć oko w oko na polu walki z nienawistnym ciemięzcą. Od tego czasu myśl ucieczki stała się ogólną, ona tylko mogła ratować teraz jednostki i całość. Jednym z tych pomysłów ogólnej ucieczki był ten, ażeby w czasie gdy już partye więźniów zalegną szlak Syberyjski od Warszawy, Kijowa aż po Ural, obrać jeden dzień do rozbicia konwojów, a łącząc się według możności, zdążyć ku miejscom na których jeszcze trwała walka.

Pomysł to był gorączkowy i niepodobny prawie do wykonania, miejsca bowiem powstaniem objęte były zanadto oddalone od traktu, prowadzącego przez Kijów, Woroneż, Moskwę, Kazań, Perm, Tobolsk, i nim dziesiątki zdążyłyby do celu, setki ofiar wpadłyby powtórnie w szpony moskiewskie. Inne pojedyńczo przedsiębrane ucieczki, po większej części się nie udawały i bardzo mało takich naliczyć można, którym powiodło się dostać albo napowrót do oddziałów walczących, albo też za granicę. Każda wieś, każdy najmniej ludny punkt był strzeżony żołdactwem i ludem moskiewskim. Od Kijowa do Kazania, oprócz wojska i kozactwa prowadzącego Sybiraków, chłopstwo z całą przyjemnością opuszczało roboty polowe, dosiadało koni i wzmacniało konwój; był to jeden z najwięcej niebezpiecznych przeciwników, bo barbarzyński i lubujący się w pastwieniu nad Polakami. Przed Uralem nie można już było takiej wspólnej ucieczki wykonać, a gdy się stanęło za temi górami, to o powrocie do kraju nie można było myśleć.

Wtedy przyszła myśl żeby uciec z Syberyi ku Chińskiej granicy. Żeby ją z krainy mrzonek popchnąć na drogę rzeczywistości, trzeba było tylko gwałtownego ucisku ze strony moskiewskiej. A tego tam nie brakowało. To cośmy mówili o Irkucku, da się zastosować do wszystkich miejsc, gdzie Polaków osadzono; więzienia były wszędzie po prostu rzeźniami.

Wśród tysięcy wygnańców nie brakło marzących o wyswobodzeniu współbraci. Od nich dane hasło w formie stanowczej byłoby jednocześnie dokonaniem faktu. Tacy się znaleźli, a więc i postanowienie nieodwołalne zapadło.

Najgłówniejszą jednak rzeczą, która mogła stać i stała na przeszkodzie energicznemu rozwinięciu czynności, była szalona przestrzeń rozdzielająca więźniów od siebie. Cząstkowe wyrwanie się jednych, które byłoby odrazu zgniecione byłoby połączone z narażeniem reszty, i całe olbrzymie zamiary spełzłyby na niczem. Aby więc tego uniknąć potrzeba było nadzwyczajnej oględności w ruchach więziennych i trzeba było tak rzecz prowadzić, żeby wszędzie w jednej chwili wystąpiono.*) Ponieważ tajemnicą nie mogło być takie ogólne usposobienie więźniów, wiedział więc o nich dobrze Sołowiejowicz wygnaniec moskiewski, o którym wyżej wzmiankowaliśmy. Przyklasnął on rezygnacyjnym zamiarom Polaków, a umiejąc cenić wartość wolności i poświęciwszy jej życie, chciał i polskim więźniom dopomódz do jej uzyskania. Zamarzył o pociągnięciu Moskali do czynu i chcąc wprowadzić ruch donioślejszego znaczenia na Syberyi, ofiarował swoje współdziałanie i pomoc Polakom.

Podanie przyjaźnej dłoni w chwili, w której nic nie było do stracenia, nie mogło żadnych obaw wzniecać, ani budzić nieufności, a chociaż projektom Sołowiejowicza trudno było wróżyć powodzenie i w takowe Polacy więźniowie nie wierzyli, to jednak wierzono w to silnie, że gdy się pożar roznieci, to się uda Sybirakom przedrzeć na terytoryum Chińskie lub do Bucharyi, podbijanej podówczas przez Moskwę. Zabrano się do uporządkowania sprawy i w gubernii Krasnojarskiej (Jenisiejskiej) miał powstać Karol Nowakowski, sympatyczny i energiczny współtowarzysz niewoli. Rzecz atoli była trudną, bo nie mógł on rozporządzać swą osobą, był bowiem skazany do katorżnych robót, a więc przeznaczone mu były miejsca odleglejsze w Syberyi około Irkucka, gdy przeciwnie do missyi, jaką miał, potrzeba było posieleńca a nie katorżnika i to takiego któryby był na osiedleniu nie gdzie indziej, tylko właśnie w okolicach Jenisiejskich. Nowakowski wiedział że do gubernii Krasnojarskiej skazany jest na osiedlenie jego rodzony brat, ksiądz z Kongresówki, który jeszcze podówczas znajdował się w podróży. Postanowił więc czekać na niego; udawszy chorego pozostał przez pewien czas w jednym ze szpitalów Krasnojarskich. Niedługo i ksiądz, brat Karola, przybył do Krasnojarska. Widywanie się braci miało codziennie miejsce; nie mogło to wzbudzać żadnych podejrzeń i pewnego razu gdy Karola miano już wysłać w dalszą drogę jako katorżnika nastąpiła między braćmi przemiana, do ukrycia której przyczyniło się podobieństwo zewnętrzne. Ksiądz przyjąwszy ubiór świecki a z nim katorgę brata w kajdany zakuty podążył dalej na wschód, gdy tymczasem Karol w roli księdza niebawem wywieziony został w okolice Krasnojarska na posielenie. (C. d. n.)

*) W jednem z miasteczek Król. Pols. mieszkała wdowa z dwoma synkami (bliźnięta liczące w owym czasie po 11 lat), których ojciec umarł w więzieniu. Wdowa ta była właścicielką skromniutkiego domku z ogrodem. Jednemu z większych czynowników tamtejszych zachciało się zostać posiadaczem własności osierociałej rodziny i w tym celu zaczął nasyłać swoich agentów, proponujących korzystną sprzedaż domu. Ostatni i jedyny dobytek sierot nie był do odstąpienia i matka odmówiła. Wówczas rozgniewany urzędnik zwrócił się do środków przysługujących jego władzy i najprzód groźbami rozpoczął atak, a gdy i to nic nie pomagało rzucił się na drogę zwykłej nikczemności.

W tym czasie w bardzo krótkich odstępach wybuchło w tem mieście kilka pożarów. Mieszkańcy, jak zwykle, podejrzywali rękę złoczyńczą i wieść się rozniosła, że podpalacze mają zamiar miasto z dymem puścić. Czynownik korzysta z pogłosek i naprowadza policyą na myśl, że owymi podpalaczami są właśnie owe bliźnięta, synowie matki broniącej mienia sierocego. Donos czynownika był wystarczający i natychmiast chłopców jednocześnie z matką do więzienia wepchnięto. Indagacye rozpoczęto z całą surowością, dzieci jednakże nie mogły stwierdzić tego, co było najzupełniejszym fałszem. Oddano ich więc pod łozy. Codziennie prowadzono te zmęczone i wygłodniałe dzieci do sądów i tam bez litości do krwi smagano, aż w końcu z bólu przyznały się do spełnienia zbrodni i wspólnictwa matki. Tego tylko potrzeba było i w kilka dni wyrok zapadł: Matkę oderwać od synów i zesłać do Syberyi, synów każdego z osobna na 12 lat katorżnych robót i mienie skonfiskować na rzecz kazny. W lat dwa potem spotkałem te ofiary w więzieniu Irkuckiemi. Chłopcy nazywają się Łętowscy.

*) Moskale później w tych działaniach więźniów dopatrzeć chcieli działania komitetów narodowych w kraju, ochrzczonych szydersko przez nich mianem „rządów podziemnych.“ Ale tutaj w tych okolicznościach nie było potrzeby pomocy tamtych, każdy bowiem chcąc być wolnym lub przynajmniej pragnący okupić drożej swoją wolność, nie zważał na to, *kto* czas wskaże; mógł to równie dobrze pierwszy zwykły człowiek uczynić nie odgrywający żadnej wybitniejszej roli w czasie powstania w kraju. Każdy należał do organizacyi, bo organizacya leżała w położeniu zgubnem każdego a dalsza forma była tylko o tyle podobną do komitetów, o ile konieczność wymagała przeprowadzenia zamiarów na przestrzeni obejmującej tysiące mil kwadratowych.

MIESZKANCY INNYCH ŚWIATÓW.

Pogadanka naukowa.

(Ciąg dalszy.)

Różnym jest także czas obrotu rozmaitych planet, a więc i różną jest długość ich dni i nocy. Na czterech wewnętrznych planetach wynosi doba około 24 godzin, tak prawie jak się to ma z naszą ziemią. Jowisz potrzebuje do wykonania obrotu tylko 9 godzin i 56 minut, a Saturn 10ciu godzin i 29 minut. Czas obrotu najbardziej odległych planet, Urana i Neptuna, nie jest dotychczas dokładnie zbadany. Wiadomo, że od prędkości obrotu zależnem jest spłaszczenie u biegunów, więc też planety Jowisz i Saturn powinnyby być najbardziej u biegunów spłaszczonemi. Dokładne obserwacye stwierdziły najzupełniej to przypuszczenie.

Rok na ziemi i na wszystkich planetach zależnym jest od czasu ich obiegu około słońca. Otóż na Merkurym rok trwa (mierząc czasem na naszej ziemi przyjętym) tylko 88 dni, na Wenerze 225, na ziemi $365^1/_4$, na Marsie 687 dni, na Jowiszu 12 lat, na Saturnie $29^1/_2$ lat, na Uranie 84, a na Neptunie 164 lata. Człowiek, jak widzimy, mógłby przeżyć znaczną ilość lat na Merkurym, na Jowiszu mógłby żyć tylko około lat 7, a na Neptunie trochę więcej niż pół roku.

Wiadomo że zmiana pór roku zależy od nachylenia osi obrotu planety, do drogi, którą około słońca opisuje i od różnej od niego odległości. Ponieważ oś naszej ziemi jest dość znacznie nachylona, więc najdokładniej odczuwamy te wszystkie zmiany. Merkury najbliższy sąsiad słońca nachyla się niepomiernie, i tak zawieszony w przepaściach wszechświata, jakby otrzymał jakieś potężne uderzenie, i za chwilę miał runąć, opisuje swą drogę około słońca. Różnica zimy i lata musi też tam być olbrzymia. Jowisz jest bardzo mało nachylony, bo tylko o $3^1/_2$ stopnie, — więc też panuje na nim jedna prawie pora roku, a zmiany jakie zachodzą, zależne są jedynie od odległości od słońca, która na tej planecie jest bardzo zmienną z powodu bardzo wydłużonej drogi eliptycznej.

Przychodzimy teraz do najważniejszego, pod względem zamieszkalności planet, punktu. Ciepło i światło zmniejszają się w stosunku kwadratów z odległości, od swego źródła. Więc jeżeli wielkość działania tych obu czynników na ziemię naszą nazwiemy 1, to na Merkurym działanie będzie 7 razy większe, na Wenerze dwa razy, na Marsie już tylko połowa, na Jowisza światło i ciepło słoneczne 27 razy słabiej działają, na Saturna 90, na Urana 360, a nareszcie na Neptuna 900 razy. Możemy sobie łatwo wyobrazić jak mały mają wpływ promienie słońca na te odległe światy.

Gdybyśmy mogli przenieść się na Merkurego, to słońce wydałoby się nam 7 razy większem, niż na naszej ziemi. Żaden z organizmów, które na ziemi widzimy, nie byłby w stanie przenieść tego ogromnego natężenia ciepła i światła. Obliczenie ciężaru gatunkowego tej planety wykazało, że musi się ona składać z najcięższych znanych u nas metali, które są zapewne częściowo w stanie płynnym. Lecz nietylko na tym niegościnnym świecie, tak silnie działają słoneczne promienie; już nawet na Wenerze siatkówka oka naszego, to zakończenie nerwu ocznego, byłaby ubezwładnioną w bardzo krótkim czasie. Nawet na ziemi dosyć łatwo to nastąpić może. Najbardziej odległa planeta, Neptun (30 razy dalej od słońca niż ziemia), otrzymuje 900 razy słabsze światło i tyleż razy słabsze ciepło. Z Neptuna widać słońce jako jasny punkcik, gwiazdę, w każdym jednak razie najjaśniejszą z całego firmamentu. Jakże potężną jest jednakże siła promieni słońca, kiedy Neptun jest jeszcze mimo to 900 razy silniej oświecony, aniżeli nasza ziemia w nocy, podczas pełni. Trzeba bowiem pamiętać, że światło, które słońce wydaje jest 800.000 razy silniejsze, niż światło przez księżyc odbite. W południe mieszkańcy Neptuna mogliby by czytać pismo drukowane; ma się jednak rozumieć, — *caeteris paribus* — ich książki musiałyby być składane większemi czcionkami, niż wydawnictwa naszych mistrzów w księgarni luksemburskiej.

W tym cośmy dotychczas powiedzieli, nie zwracaliśmy uwagi na wewnętrzne ciepło planet, na ich atmosferę, i na własności powierzchni. Wiemy wprawdzie, że ciepło wewnętrzne naszej ziemi jest pozostałością po dawnej wysokiej temperaturze, która ją w stanie płynnym utrzymywała, lecz to ciepło u nas ma bardzo nieznaczny wpływ, w stosunku do tego, jaki wywiera słońce. Mało jeszcze bardzo wiemy o cieple wewnętrznem innych planet. W nowszych czasach znany astronom Proctor, wystąpił z twierdzeniem, że większe planety, jak Jowisz i Saturn, są jeszcze tak gorące, że świecą własnem światłem. Bez tego przypuszczenia trudno by było rzeczywiście wytłumaczyć ich jasność — bo, według obliczeń, gdyby one same nie świeciły i ich powierzchnia była z białego, doskonale światło odbijającego piaskowca, to jaśniałyby one znacznie słabszem światłem niż obecnie. Inne jeszcze fakta, o ile się zdaje, potwierdzają zdanie Proctora; jeżeli tak jest rzeczywiście, to rzecz naturalna, życie organiczne nie może się tam rozwinąć.

Daleko więcej niż o cieple słonecznem, wiemy o atmosferach planet, rozbiory widmowe wyjaśniły nam w tym względzie wiele nieznanych rzeczy. Wykazało się, że wszystkie planety aż do Saturna, posiadają atmosfery, które się mało różnią od naszej i są nasycone parą wodną.

Atmosfera działa jak szklanne szyby w cieplarniach, które przepuszczają ciepłe promienie słoneczne, lecz przeszkadzają ich rozprószeniu się na zewnątrz przez promieniowanie. Tam gdzie nie ma atmosfery, tam nie ma i wody, jak to np. ma miejsce na księżycu, o którym później obszerniej pomówimy, jako o naszym najbliższym sąsiedzie. Gdybyśmy znali gęstość, wysokość, skład chemiczny i własności fizyczne wszystkich atmosfer otaczających planety, a przy tem jeszcze, chociażby w przybliżeniu, stan ich powierzchni, to moglibyśmy za pomocą rachunku, obliczyć przybliżenie średnie roczne temperatury. Dotąd, oprócz księżyca, zwracano największą uwagę na powierzchnię Marsa. Mamy bardzo ładne karty geograficzne tej planety, które mniej więcej wyraźnie wykazują rozkład mórz i lądów. Widać dobrze masy lodów zalegające bieguny. W ogóle powierzchnia Marsa ma wiele podobieństwa do powierzchni naszej ziemi. Już w dawniejszych czasach Huyghens i Cassini odkryli pokłady lodów na biegunach, a Herschel uzupełnił to odkrycie, wykazując że ilość tych lodów zmienia się stosownie do pór roku. Oprócz tego ma Mars atmosferę, w której rozpoznać można obłoki i inne meteorologiczne zjawiska, które na ziemi oglądamy.

Przywykliśmy na ziemi, wyobrażać sobie ciała rozmaite w trzech stanach: stałym, płynnym i gazowym, i bezwiednie przenosimy te nasze pojęcia i względnie do innych planet. Jeżeli zostawimy na boku ciśnienie atmosferyczne na pojedyńczych planetach, i ich ciepło wewnętrzne, i zwrócimy tylko uwagę na działanie promieni słonecznych, to bardzo łatwo się przekonamy, że wiele ciał, które na ziemi są w stanie stałym, znajdują się na Merkurym w stanie płynnym, lub nawet gazowym, a wiele płynów a nawet i gazów muszą być na Uranie lub Neptunie w stanie skrzepniętym, w stanie ciał stałych. Wiele połączeń chemicznych, które na ziemi widzimy, byłyby tam niemożliwemi, a znowu mogą tam być takie o jakich my nigdy na ziemi mieć nie będziemy pojęcia.

Słowem, co do warunków fizycznych i chemicznych nawet, spotykamy na planetach bardzo wielkie różnice, a więc już to samo naprowadza na myśl, że gdyby twory organiczne tam się znajdowały, to musiałyby się różnić bardzo silnie pomiędzy sobą. (C. d. n.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom trzeci.

(*Ciąg dalszy.*)

ROZDZIAŁ VIII.

Hamlin ciągnie kartę.

Uwięzienie odbyło się spokojnie, ku wielkiemu zdumieniu aresztujących, Gabryel nie stawił żadnego oporu, jak gdyby upatrywał w tem krok naprzód do prędszego rozwiązania zagadki, której ostatnie słowo było dla niego niewątpliwem. Można jednak było dostrzedz w nim pewien stopień ostrożności — prosił, by mu pokazano rozkaz uwięzienia, jakoteż by udzielono szczegółów co do znalezienia trupa, i stanowczo zaniechał wszelkich wyjaśnień, lub uniewinnień, ostrożność tę tłumaczono sobie „nikczemną przebiegłością zbrodniarza,“ co mocno na niekorzyść jego przemawiało. Chętnie poddał się rewizyi, która nie znalazła ani ukrytej broni, ani nic wcale ważnego.

Ale gdy mu pokazano parę ręcznych łańcuchów, zmienił się w twarzy i stojący bliżej wyraźnie słyszeli, jak mu się oddech przyspieszył i jak z trudnością wybełkotał pierwsze słowa, któremi przeciw temu protestował. Szeryf, człowiek znanej nieustraszoności, posiadający bystry dar spostrzegawczy również to zauważył i łańcuchy spokojnie schował do kieszeni.

— Sądzę, że możemy te rzeczy odłożyć na bok, powiedział, jeżeli pan chcesz narazić się na niebezpieczeństwo, — dobrze.

Oczy obu tych ludzi spotkały się; Gabryel podziękował mu. We wzroku szeryfa wyczytał, iż przy najmniejszem usiłowaniu ucieczki może się spodziewać, że na miejscu zostanie trupem położony.

Zamiarem szeryfa było powrócić pierwszym odchodzącym pocztowym powozem. Tymczasem umieszczono Gabryela pod silną strażą w jednym z pokojów na górze. Tu, powróciwszy zupełnie do spokojności, prosił on by mu pozwolono wypalić fajeczkę, na co łagodnie usposobieni dozorcy chętnie przystali, i Gabryel całą swą długością wyciągnął się na łóżku. Wzmagający się wiatr świstał koło skrzypiących okien i znalazłszy sobie drogę przez jakąś szparę rozpraszał po pokoju wijący się z fajki dym w lekkich obłokach. Dozorca, okazujący nierównie większe wzruszenie aniżeli jego więzień, po bezowocnych usiłowaniach rozpoczęcia rozmowy odpowiedniej okolicznościom, znalazł pomoc w samym Gabryelu.

— Nie potrzebujesz pan robić tu sobie przymusu, tak samotnie ze mną siedząc, rzekł on przyjaźnie; — nie jest to zwykłe zajęcie pana i nie jesteś do niego przyzwyczajony. Jeżeli pan masz tu jednego i drugiego znajomego, lub przyjaciela, z którym chętnie pogawędziłbyś, to niech on tu wejdzie; ja panom nie przeszkodzę.

Ale tu zakłopotanie dozorcy znalazło jeszcze nową pomoc w wejściu Joe Halla, szeryfa.

— Na dole znajdzie się jeden gentleman, chcący rozmówić się z panem, rzekł do Gabryela;— może on tu pozostać dopóki nie odjedziemy.

A potem zwracając się do dozorcy, dodał:

— Możesz umieścić się tam, w korytarzu... wszystko jest w porządku... to adwokat uwięzionego.

Przy tych słowach Gabryel podniósł oczy. Za szeryfem wszedł do pokoju adwokat Maxwell. Przybliżył się do Gabryela i z serdecznością wyciągnął ku niemu rękę, zawczasu obtarłszy sobie przy drzwiach ostatni ślad uśmiechu.

— Nie spodziewałem się, Gabryelu, że tak prędko zobaczę pana znowu; ale jak tylko doszła do moich uszu wiadomość, że przyjaciel nasz Hall, ma w kieszeni rozkaz aresztowania pana, pospieszyłem w trop za nim. Przybyłbym tu pierwej od niego, ale mi koń zakulał.

Zatrzymał się, spojrzał Gabryelowi ostro w oczy, potem rzekł:

— No i cóż?

Gabryel spojrzał na niego, nie wymówił jednak ani słowa.

— Z góry przypuszczam, że będziesz pan potrzebował doświadczonego obrońcy, dodał adwokat z lekkiem wahaniem, — być może ja nim będę... wszak pan wiesz, iż znane mi są rozmaite okoliczności, poprzedzające to wydarzenie.

— Jakie okoliczności? zapytał Gabryel okazując tąż samą ostrożność.

— Na miłość boską, Gabryelu, zawołał Maxwell zrywając się z niecierpliwością, nie róbmy teraz takich niedorzeczności jak przy naszej pierwszej rozmowie. To jest wypadek ważny; dla pana może stać się on bardzo ważnym. Zastanów się pan na chwilę. Wczoraj żądałeś mojej pomocy, ażeby przenieść na żonę tytuł własności całego swego mienia, przyczem opowiadałeś mi, że masz zamiar wynieść się i że nigdy już noga jego nie postanie w One horse gulch. Nie pytam pana teraz, dlaczego to zrobiłeś. Chciałbym tylko byś rozważył, że teraz ja faktycznie jestem jedynym człowiekiem, któremu okoliczność ta jest znaną — okoliczność — mogę to powiedzieć jako świadomy prawa — będąca niemałej wagi dla wyjaśnienia zbrodni, o którą pana obwiniają.

Maxwell czekał by Gabryel przemówił, obcierając tymczasem z ust zwykły swój uśmiech. Ale Gabryel nie mówił nic.

— Gabryelu Conroy, rzekł teraz adwokat Maxwell, czyś ostatecznie zgłupiał?

— Być może, odrzekł Gabryel z prostotą człowieka, przystającego na całkiem słuszne twierdzenie, — być może. Ja sam sądzę żem zgłupiał?

— Nie dziwiłoby to mnie, do wszystkich djabłów, gdyby to było w samej rzeczy!

Zatrzymał się, jak gdyby mu wstyd było własnej gwałtowności i mówił dalej głosem spokojnym, który chciał uczynić o ile można przekonywającym.

— Posłuchaj, Gabryelu, jeżeli nie chcesz mnie nic wyznać, to sądzę, że wypada bym ja jemu wyznał. Przed sześcią miesiącami sądziłem, że pan jesteś oszust i łotr! Przed sześcią miesiącami zarzucałeś pan kobiecie, będącej dziś jego żoną, oszustwa; utrzymywałeś, że nosi nazwisko i przyswaja sobie prawa nie należące do niej; ona jasno dowodziła, w czystym angielskim języku, że pan sam zamianowałeś siebie Gabryelem Conroy i że ona, jako rzeczywista Gracja Conroy, jako siostra rzeczywistego Gabryela, wie i wiedzieć musi, że kłamiesz. Stwierdzała to wszystko dowodami, wszystko, do pioruna, wszystko! Nie masz na świecie adwokata, któryby nie nazwał tego dobrym interesem, i któryby natychmiast nie był gotów rzecz tę popierać w jakimkolwiek bądź sądzie. Wśród takich okoliczności udałem się do pana i dobrze przypominam sobie jak to było! Pan znasz rezultat tej rozmowy. Teraz mogę powiedzieć panu, że jeżeli jest człowiek, któryby przyznał się do winy najwyraźniej, to takim człowiekiem pan jesteś. No, dobrze! gdy zachowanie się pana następnie wyjaśnione zostało przez Olly, kobieta ta, nienaruszając pierwotnych swych zeznań przeciw panu, ani nie uszczuplając swych praw, przyszła do mnie i powiedziała, że poznała w panu człowieka, który z narażeniem własnego życia uratował ją od śmierci, i że teraz przez wdzięczność i inne sentymentalne względy, nie chce popierać swych praw i pretensyj. Gdy następnie opowiedziała mi, że to usposobienie — ale przejdźmy do rzeczy poważniejszych — że przyrzekła być żoną pana i tym sposobem usprawiedliwić go wobec prawa — no, do wszystkich piorunów! było to całkiem po kobiecemu i naturalnie, i nie miałem najmniejszego podejrzenia! Opowiadaniu jej uwierzyłem i sądziłem, że ona trzyma w ręku sprawę! Tak, mój panie! w ostatnich sześciu miesiącach patrzyłem na pana jako na kreaturę szalonej ambicyi tej kobiety! Mogłem widzieć, że ona była zakochana w panu i sądziłem żeś ją pan ogłupił. Tak było! A gdy pan teraz utrzymujesz, że jesteś głupcem, to przyznaję, że ja byłem dotąd daleko większym.

Zatrzymał się, obtarł sobie z ust uśmiech i ciągnął dalej:

— Zacząłem coś podejrzewać, gdyś wczoraj przyszedł do mnie z tą historyą o swoim odjeździe i odstąpieniu własności. Gdy dowiedziałem się o zabiciu w pobliżu waszego domu, tego cudzoziemca, który był jednym ze świadków pretensyi żony pana, gdym się dowiedział o ucieczce pana i nagłem zniknięciu jego żony, podejrzenia moje wzmocniły się. A gdym odczytał tę oto kartkę jego żony, która ostatniej nocy doręczona mu była przez jednego ze służących i dziś rano znaleziona została nie daleko od trupa, podejrzenia moje utwierdziły się.

Skończywszy, wyjął z kieszeni złożony w kilkoro papier i podał go Gabryelowi. Ten wziął go mechanicznie do rąk i otworzył. Była to ta sama kartka, którą ubiegłej nocy otrzymał od żony. Podczas gdy trzymał ją jeszcze w ręku wyjął nóż i postukał rękojeścią jego w swoją fajkę. Potem, po upływie kilku chwil zapytał ostrożnie:

— A jak się ona do pana dostała?

— Znalazła ją Sal Clark i zaniosła do pani Markle, a ta mnie doręczyła. Istnienie jej znane jest trzem tylko osobom, a to są przyjaciele pana.

Znowu nastąpiło milczenie, podczas którego Gabryel pilnie przeczyszczał swoją fajkę. P. Maxwel z ciekawością przypatrywał się mu, wreszcie zapytał:

— No, co pan przytoczysz na swoją obronę?

Gabryel usiadł wygodnie na łóżku i począł stukać swoją fajką o poręcz, by odbić osad, przywrzały do wnętrza boków.

— Co, zapytał, co pan nazywasz dobrą obroną? Ponieważ pytam pana jako adwokata, obeznanego z temi rzeczami, i gotów jestem tak dobrze za to zapłacić jak każdy inny, więc pytam pana co pan poczytujesz za dobrą obronę?

I położył się znowu w oczekiwaniu odpowiedzi.

— Spodziewamy się dowieść, odrzekł Maxwell, któremu teraz rzeczywiście uśmiech zaigrał na ustach, — że gdyś pan swój dom opuścił i przyszedłeś do mojej kancelaryi, człowiek zamordowany był jeszcze przy życiu i znajdował się w swoim hotelu, że daleko później wszedł na wzgórze, po zejściu ztamtąd pana, że przed wieczorem pan nie powróciłeś — gdy już morderstwo zostało popełnione, jak to wskazuje „tajemnica“ o której żona pana tajemniczo w piśmie swem wspomina. Że z tego czy z innego powodu widocznym jest jej zamiar rzucenia na pana podejrzenia; że kartka wyraźnie mówi, iż chodzi tu o fakt, który jest jej znany, a panu nie.

— Coś takiego, o czem ona wiedziała, a ja nie słyszałem, dodał Gabryel spokojnie.

— Tak jest! teraz pojmujesz pan ważność tej kartki.

Gabryel nie odpowiedział zaraz; tylko podniósł się powoli z łóżka, podszedł ku otwartemu oknu, ciągle trzymając kartkę w ręku, podarł ją na najdrobniejsze kawałki i wyrzucił za okno.

— Ten papier nie wart szczypty tytoniu, powiedział spokojnym, ale stanowczym głosem, powracając do łóżka.

Teraz adwokat Maxwell osłupiał. Wśród ogromnego zdziwienia zapomniał nawet obetrzeć usta i patrzał na Gabryela, uśmiechając się nerwowo, jak gdyby klient jego tylko co popełnił największe głupstwo w świecie.

— Jeżeli to panu nie zawadzi, to udzielę mu moich myśli o obronie, zaczął mówić Gabryel łagodnym tonem i nakładając sobie drugą fajkę; naturalnie, iż wierzę, że pan znasz to lepiej odemnie, to też nie żądam, byś mi pan co strącał ze swego rachunku za to. Otóż stajesz pan przed sędzią i przędziesz historyę, mniej więcej w sposób następujący: „Oto masz pan mnie, naprzykład, mówisz pan — który zawsze płata sztuki, — mówisz pan, walczy, że tak powiem na pięście z każdym tygrysem, gdzie tylko takiego spotka, o czem jednak ludzie w ogólności, a żona moja, która jest Julią w szczególności, wcale nie wiedzą. Otóż macie mnie takiego; i ja z tym tam człowiekiem, z tym Wiktorem Ramirezem, wdałem się w ryzykowną grę i osiadłem przy tem na mieliźnie! i następnie, że tak powiem, mieliśmy niejakie trudności ze względu na kilka punktów w naszej grze. On utrzymywał jedno, ja drugie, i ten łotr poczyna mnie lżyć jako kłamcę, a ja... ja go zabijam!... Nie? Nie sądzisz pan? No, to wprowadzimy historję na tor w sposób następujący: Siedmiu ludzi — siedmiu — wszyscy dobrzy jego przyjaciele — wpadają na mnie nieprzyzwoicie i niegrzecznie; jednego powaliłem i zaraz wpada na mnie następujący i wodzimy się całą godzinę, aż w końcu ja doprowadzony do ostateczności muszę użyć noża i pakuję mu go między żebra! Oto co powiedziałbym o tej historyi!... Teraz co się tyczy mojej ucieczki, to powiedz pan tylko, że mnie, powiedz pan, wśród wzruszenia i bójki zupełnie wyszło z głowy, że na drugi dzień, równo na drugi dzień, miałem schadzkę w Sacramento i dlatego z największym pospiechem popędziłem tam, by nie zrobić zawodu. Jeżeli zechcą wiedzieć gdzie jest Julia, to powiedz pan tylko, że jak opętana latała po domu, ponieważ ja tam nie przyszedłem, i że przez całą noc pędziła za mną jak szalona. Otóż wypowiedziałem panu moją myśl. Naturalnie, że możesz pan obrócić ją według swojej głowy i na czysto wyprowadzić, wsadzić tak parę szczypt poezyi i innej siekaniny, ażeby adwokat skarżącego bladł i trząsł się jak oblany wodą pudel; to, jak panu wiadomo, zawsze sprawia dobre wrażenie na sędziów i przysięgłych.

Maxwell wstał smutny i powiedział:

— A zatem, jeżeli pana dobrze zrozumiałem, zamierzasz przyznać się...

— Naturalnie! odrzekł Gabryel, — ale, dodał, mrugając ukradkiem oczyma, należyty cios śmiertelny — należyty, rozumiesz pan! albowiem byłem w obawie o moje życie wobec tych siedmiu ludzi... naturalnie, dodał z pospiechem, siedmiu tych ludzi nie mogłem widzieć wśród ciemności i dlatego nie mogę powiedzieć kto oni byli i jak wyglądali; tym sposobem, jak mi się zdaje, żaden z kolegów w mieście, nie będzie narażony na podejrzenie i nieprzyjemności.

Maxwell podszedł ku oknu i spojrzał przez nie nic nie mówiąc. Potem zwrócił się ku Gabryelowi z weselszym wyrazem w twarzy obok powagi w całej swej osobie.

— Gdzie jest Olly? — zapytał.

Ostrożność Gabryela znikła. Zawahał się na chwilę. Potem powiedział:

— Właśnie byłem w drodze do szkoły w Sacramento, gdzie się ona znajduje.

— Musisz pan posłać po nią; muszę rozmówić się z nią natychmiast!

Gabryel położył potężną swą rękę na ramieniu adwokata.

— Dziecko nie potrzebuje nic wiedzieć o tej historyi. Rozumiesz pan? powiedział głosem, który począł się od błagającej prośby, a skończył nutą surowej przestrogi.

— Jakże pan zamyślasz ukryć to przed nią? — zapytał Maxwell również stanowczo.— Mniej niż w dwudziestu czterech godzinach każda krajowa gazeta doniesie o tem z wersyami i komentarzami. Nie, pan musisz jej powiedzieć... ona naprzód musi dowiedzieć się o tem z ust pana.

— Ależ ja... nie mogę... widzieć się z nią... teraz, odpowiedział Gabryel głosem, który po raz pierwszy od początku tej rozmowy zadrżał.

— Tego nie potrzebujesz pan robić, odparł szybko adwokat, — pozostaw pan to mnie, ja się z nią zobaczę pierwej, a pan potem jej powiesz. Nie potrzebujesz pan obawiać się bym uczynił cośkolwiek szkodzącego jego sprawie. Daj mi pan adres! prędko! dodał— nalegająco, gdy w podwórzu dały się słyszeć głosy i kroki.

Gabryel uczynił zadość żądaniu adwokata.

— Teraz jeszcze jedno słowo, dodał pospiesznie gdy kroki zatrzymały się przed drzwiami.

— Słucham, rzekł Gabryel.

— Jeżeli własne życie i szczęście Olly, ma dla pana jaką wartość, to trzymaj język za zębami.

Gabryel skinął głową na znak, że rozumie. Drzwi się otworzyły i wszedł p. Hamlin ogromnie wesoły, pewny siebie i śmiały. Poufnie kinąwszy głową Maxwellowi, stanął przed Gabryelem i wyciągnął ku niemu rękę. Ulegając jakiemuś magnetycznemu pociągowi, Gabryel podał mu swoją i białe nerwowe palce Jacka znalazły się w jego spokojnej a potężnej dłoni.

— Rad jestem, że cię widzę, kolego! rzekł przybyły gentleman, pokazując białe swe zęby i podnosząc się na palcach, by wolną swą rękę położyć na ramieniu Gabryela. Bardzo rad jestem że cię widzę, mój stary, ja sam bliski już byłem zrobienia tego co ty. Prędzej czy później ja sam uspokoiłbym tego Meksykanina, gdybyś ty nie postawił się na mojem miejscu. O! wszystko jest w porządku, Mack, powiedział dalej dostrzegłszy wzrok Maxwella przestrzegający Gabryela by się miał na ostrożności, — to nic. My jesteśmy starzy dobrzy przyjaciele. Jeżeli chcesz bym świadczył — to zaświadczę i przysięgnę, że w ciągu tych sześciu miesięcy, nie było ani jednego dnia w którymby ten pies przeklęty, ten Ramirez nie był bardzo bliskim od tego, żeby popłynąć z wodą. Niech mnie wszyscy diabli porwą, moi panowie, ale doprawdy, że zaledwie mogę temu wierzyć, że to nie ja zrobiłem.

Tu się zatrzymał, po części aby zachwycić się coraz bardziej wzrastającą niespokojnością Maxwella, po części może wskutek pewnego podziwu jaki go opanował, gdy rozpatrywał fizyczne przymioty Gabryela. Maxwell skorzystał natychmiast z tej przerwy.

— Możesz pan swemu przyjacielowi wyświadczyć wielką usługę, rzekł zwracając się do Jacka i stłumiając powoli głos.

Jack uśmiechnął się.

— Nie, Mack, odrzekł, tak nie idzie. Nie uwierzysz mnie! nie ma ani jednego sędziego, i ani jednego przysięgłego, z którymi możnaby było odważyć się na podobną grę.

— Pan mnie nie rozumiesz, powiedział Maxwell wymuszenie uśmiechając się, nie myślę o niczem podobnem, Jack... Ten człowiek miał zamiar udać się do Sacramento, ażeby odwiedzić małą swą siostrę...

— Dalej, dalej! zawołał Jack z powagą jak największą; rozumie się, że chciał. Ja to znam: „Kochany bracie, kochany bracie!... przybywaj!“ Rozumie się, rozumie! Ze mną rzecz ma się zupełnie tak samo, ja także mam zamiar odwiedzić pewne niewinne małe stworzenie, tak około siedmnastu lat mające, z niebieskiemi oczyma i kędzierzawym włoskiem! Regularnie raz na tydzień bywam tam.

Zatrzymał się wśród pełnego potoku swej ironii, gdyż mimochodem dostrzegł pomięszanie w twarzy Gabryela i smutny pełen wyrzutu wzrok jego, potem rzekł zwracając się do Maxwella:

— Posłuchaj pan! co jeszcze masz do powiedzenia o tem?

— Wiem dobrze co mówię, odparł prędko Maxwell: miał on zamiar odwidzić swoją siostrę, czyste dziecko! Naturalnie, że teraz nie może uczynić tego. Ale on musi widzieć się z nią i rozmówić... gdyby tu mogła być sprowadzona! Czy pan możesz, czy chcesz pan zrobić to?

Jack znowu bystro spojrzał na Gabryela.

— Liczcie na mnie! odrzekł prędko, — kiedy mam jechać?

— Teraz — zaraz.

— Dobrze!... dokąd mam ją sprowadzić?

— Do One horse gulch.

— *Le jeu est fait!* — zawołał Jack sentencyonalnie. — Jutro, nim słońce zajdzie, będzie tam.

Wyleciał jak strzała; ale również prędko powrócił i wywołał Maxwella do drzwi.

— Posłuchaj pan, szepnął mu, być może, iż dobrze byłoby, by szeryf nie wiedział, że ja jestem jego przyjacielem, przyczem wskazał skinieniem głowy i ciemnemi swemi oczyma na Gabryela, bo widzisz pan, Joe Hall i ja nie jesteśmy przyjaciołmi; zeszłego roku w Marysville mieliśmy małe zajście; trochę strzelano i tym podobne żarty zachodziły. Joe jest człowiek dobry, pewny, ale nie bez uprzedzeń, co mogłoby zaszkodzić naszemu klientowi.

Maxwell skinął głową i Jack po raz drugi wybiegł.

Ale twarz jego była tak zaczerwieniona, wzruszenie tak wielkie, że gdy wszedł do swego pokoju, wierny Pete z nieukrytem zmartwieniem, spojrzał na niego.

— Niech nas pan Bóg ma w swojej opiece! Nie masz już tam ani kropli whiskey, massa Jack, a tymczasem doktor zabronił panu!... zawołał załamując ręce.

To proste napomknienie wystarczyło Jackowi przy teraźniejszem jego wesołem usposobieniu; potrząsł białą wełnistą głowę swego sługi, zamachnął się na niego groźnie chłopcem do ściągania butów i zażądał, „jeszcze jednej flaszki!“ Potem uśmiechnął się, wyprostował, z pełną godności powagą i zupełną zmianą w całej swej postaci i surowym tonem zażądał wyjaśnienia co on, Pete, myśli sobie, że tak leży na dziedzińcu „w stanie bydlęcego opilstwa.“

— Boże odpuść, massa Jack, ale pan rzeczywiście przestraszyłeś mnie; myślałem że ci turyści podłapali pana!

— Właśnie zrobili to, ty zdegradowany stary nicponiu! Gdybyś czytał *Volney's Ruins*, lub zajął się uwagami i maksymami, któremi napawać cię tyle mnie czasu i zdrowia kosztowało, zamiast robić mnie powiernikiem twoich pijackich marzeń, to pewno nie popełniałbyś tyle złego. Upakuj moje rzeczy i wrzuć je do jakiegokolwiek zaprzężonego wozu. Ale prędko!

— Czy jedziemy do Sacramento, massa Jack?

— My? nie, mój panie! Ja jadę — ja sam! Co teraz zamierzam uczynić, sir, to jest wynikiem spokojnego przekonania i kilku bezsennych nocy, podczas których starałem się dojść do jasnego poglądu i wynikającego z tego należytego pojmowania położenia rzeczy. I doszedłem do przekonania, panie Pete, że dłużej z panem żyć nie mogę. Pan mnie przytępiłeś ostrze moich szlachetnych uczuć, moralną i religijną naturą moją głęboko, bardzo głęboko, zniżyłeś i w ciągu ostatnich pięciu lat upodobałeś sobie na mój umysłowy kierunek naciągać zimną, nieczułą „kołdrę.“ I w tej chwili grubą swoją ręką popsułeś szlachetny popęd moich myśli i uczuć, tak że nie czuję się zdolnym postawić pięciu centów na stawkę... Przed pięciu laty — ciągnął dalej Jack, ze swobodą rozczesując swe włosy przed źwierciadłem — wpadłem w ręce pana, jako młodzieniec prosty, nie mający ani podejrzeń, ani długów, który przy pierwszem rozdaniu kart, gdy stawał się mężczyzną, nie znał żadnego punktu i tylko że tak powiem, według swego gustu podróżował. A gdzie ja jestem teraz? Echo powtarza owo „gdzie?“ i zamiera jak stukająca kostka! Nie, Pete, dziś w nocy odchodzę od ciebie. Nędzny uwodzicielu młodzieży, posiwiały niegodziwcze z wiśniowemi brwiami, bądź zdrów!

Widocznie że takie patetyczne przemówienie nie było nowością dla Pete, gdyż pozornie nie zwracając najmniejszej uwagi na nie, z niezadowoloną miną począł układać rzeczy swego pana. Gdy załatwił się z niemi, spojrzał na Hamlina, nucącego rozdzierającą serce melodyą: „Tak! musimy rozstać się!“ i przy sposobności rzucającego na niego wzrok wyrzutu, a gdy ten brał swój tłómoczek zapytał go:

— Czy nie będzie to znowu, massa Jack, kobieca awantura, jak niedawno w misyi?

— Przypuszczenie pańskie, panie Pete, odrzekł Jack z godnością, ma swe źródło w moralnem uczuciu sfałszowanem przez romanse i obłudę i w inteligencyi uszkodzonej przez ciągłe obcowanie z dozorcami składu trunków, przypuszczenie pańskie godne jest szulera i gracza robiącego wolty, jakową nikczemną czynnością — przykro mi, że muszę to panu oświadczyć — jak podejrzywam, oddawna już pan się zajmujesz.

Bądź zdrów, Pete — powiedział w końcu, zmieniając ton swej mowy — zostaniesz tu dopóki nie powrócę. Jeżeli do trzech dni, licząc od dzisiejszego, nie powrócę, to przybędziesz do One horse gulch. Zapłać rachunek i nie potrącaj na swoją korzyść więcej nad siedmdziesiąt pięć procentów. Pomyśl o tem, że ja starzeję i słabnę. Ty jesteś młody i masz jeszcze świetną przyszłość przed sobą! A teraz, naprzód!

Rzucił całą garść złotych monet na łóżko, starannie umieścił kapelusz na swych puklach i wyszedł z pokoju. Na korytarzu zatrzymał się dość długo, by wywołać na stronę pana Raynora i z miną wielkiej sumienności poprawić omyłkę, którą ku wielkiej swej przykrości popełnił, podając mu dziś rano wymiary jednej ogromnej jodły, pod której cieniem on, pan Hamlin, niegdyś znalazł żyjący spokojny i szczęśliwy ludek indyjski przeszło sto głów wynoszący.

Następnie ze szczególnem ugrzecznieniem zdjął kapelusz przed panią Raynor, zupełnie ignorując obecność mentora pana Raynora, wskoczył zręcznie do swej jednokonki i odjechał.

— Bardzo przyjemna osoba, rzekł p. Raynor patrząc się na słup kurzawy wznoszący się z pod kół ekwipażu Hamlina.

— I prawdziwy gentleman — dodała pani Raynor.

Ale dziennikarski przestrzegacz publicznej moralności Kalifornii i miasta San Francisco spojrzał z powagą i godnością, i uczuł się obowiązanym do zmniejszenia i tej chudej pochwały odjeżdżającego.

— Ta klasa ludzi jest klęską kraju, powiedział. Nie szanują prawa, przykładami swego marnotrawstwa i niezgodnego z ustanowionym porządkiem rzeczy usposobienia osłabiają ekonomiczny postęp i dobrobyt; są to konsumenci, ale nie producenci; przychylną opinię o tym kraju podkopują u tych, którzy podobne osobistości poczytują za typy naszej ludności.

— Ale, kochany panie, zauważyła pani Raynor z widocznem zniecierpliwieniem, jeżeli gracze wasi są tak przyjemni i ujmujący, a zacni wasi górnicy mordują i zabijają, a potem bez ceremonii zasiadają z wami do śniadania, jak gdyby nic się nie stało, to jak mi pan to wytłumaczysz?

Dziennikarz nie dał na to bezpośredniej odpowiedzi. Wszakże w toku wymownych uwag, które pod względem moralności jakoteż układu były zarówno niezaprzeczalne, a które tu powtarzać brak miejsca na nieszczęście nie dozwala, stanowczo wyprowadził fakt, że jeszcze w kraju znajduje się wolna i nie ulegająca żadnym wpływom prasa, która i „świetnia“ i „oświeca“ i „dopomaga“ i „przenika,“ która jest to „strażą,“ to „palladium,“ jak to jest i być musi właściwością wolnej i nie ulegającej żadnym wpływom prasy, wśród pionierów kultury, dopóki takowa nie zostanie zdenerwowaną wpływami cywilizacyi, która się przeżyła.

— A co zrobiliście z mordercą? — zapytał pan Raynor, z trudnością powstrzymujący ziewanie.

— Przed pół godziną odwieziono go do One horse gulch. Sądzę wszakże, że lepiej byłoby gdyby tu został, powiedział ktoś stojący w pobliżu, przynajmniej wnosząc z tego jak rzeczy stoją, kręto będzie koło niego w drodze.

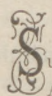
— Co pan sądzisz? — zapytał ciekawie p. Raynor.

— Przechodziło tędy dwóch czy trzech z dawnej straży *Angel's Reservation*, ze strzelbami i także poszło tą samą drogą — odpowiedział zapytany powoli — być może, że nie masz w tem nic szczególnego, ale wygląda to bardzo na to jak gdyby...

— Jak gdyby co? — zapytał p. Raynor zaciekawiony.

— Jak gdyby to był *lynch* *) — odrzekł zapytany. (C. d. n)

Dr Skubacki.*)


Suma — osiem tysięcy;
Ani mniej, ani więcej

Spada na mnie po dziadku,
Mówią: bez adwokata
Odbierzesz za dwa lata;
Więc proszę w tym wypadku
Doktora Skubackiego.
Znany wszystkim i wszędzie,
Mówi: nic łatwiejszego,
Spadek w moment nasz będzie.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

Szanowny adwokacie!
Co tam słychać na świecie?
Mój spadek? jak tam przecie?
— Pamiętam — w referacie;
Nakazy, protokóły
Popycham, niech pan wierzy;
Pracujemy jak muły,
To długo nie poleży.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

Łaskawy mecenasie!
Spadek! aż sam się wstydzę!
Zapomniałeś jak widzę!
— Pamiętam — w krótkim czasie
Już będzie; duplikaty,
Cessye protestowane,
Akceptacye, illaty,
Wszystko przygotowane.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

Mecenasie kochany!
Gonię grosza ostatkiem!
Co się dzieje ze spadkiem?
— Pamiętam — przywołany;
Teraz tylko duplika,
Inwekta, rotulacya,
Presentatum, replika,
Taksa i licytacya.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

Mecenasie łaskawy!
Mój spadek! Ledwo żyję!
Rosa — wiesz — oczy wyjé!
— Pamiętam — pańskiej sprawy
Pilnuję; już kontrakty
W przelewie, jeszcze kwity,
Kaucya, pozew, extrakty,
I interes ubity.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

Aj! szanowny doktorze!
Prędzej ja ujrzę cmentarz
Niż spadek! Nie pamiętasz!
— Pamiętam — ach! mój Boże;
Już tylko bagatela;
Rekurs, extensa z treści,
Rubrum i kuratela;
Forsuję co się zmieści.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

Doktorze! wstyd dla Boga!
Spadek taki maluczki!
Wasze prawo — to kruczki!
— Przepraszam — prawna droga,
I prawne systemata,
Są procesem logiki;
Cóż to jest cztery lata?
Nic nie pomogą krzyki.

Upłynęło miesięcy
Osiem, ni mniej, ni więcej.

Mecenasie! ni słowa!
Pięć lat prawicie baśnie,..
Niech was piorun zatrzaśnie!
— Przepraszam — rzecz gotowa;
I oto są rachunki...
Prowizye, rekwizyta,
Konferencye, szacunki...
Proszę niech pan przeczyta...

Suma — osiem tysięcy,
Ani mniej, ani więcej.

M. Rodoć.

---

*) Lynch, sąd doraźny, wykonywany niegdyś w Kalifornii przez osadników bez żadnych form prawnych.

*) Wierszyk ten przedrukowujemy za pozwoleniem autora ze skonfiskowanego zeszytu „Piosnek i gawęd humorystycznych.“ P. R.

Mania Curaciosa

obrazek z życia u wód

przez

Autora Kłopotów starego komendanta.

(Ciąg dalszy.)

— Może pani za wiele pije wody mineralnej? — zapytał doktor.

— Nie, ot po tę kreskę — odpowiada pani Matylda pokazując na obrączkę otaczającą kubek.

— To za wiele łaskawa pani... to za wiele — rzecze konsyliarz. — A jakże pulsik?

— Wszak sam pan konsyliarz kazałeś mi pić taką ilość — mówi wdowa podając rękę doktorowi.

— A, skoro ja kazałem — odpowiada z powagą licząc uderzenie pulsu — to nie za wiele, o nie za wiele... No, pulsik znacznie lepiej. A języczek? Śliczniutki — kończy przypatrując się z zajęciem wysuniętemu naprzód językowi.

— Bezsenność mię tylko męczy...

— Bo nie chodzisz — wtrąca odwiązując serwetę radca. — Jak to można żyć bez agitacyi. Idź tak jak ja dwa razy tam i napowrót do Słotwinki, a zobaczysz jak będziesz spała — jak kamień...

— Może łóżeczko niewygodnie usłane, może myśli wiele? — pyta pan Dyonizy patrząc się w oczy pacyentki.

— I to nie — odpowiada Matylda — owszem wszystko wygodne, kładę się ze spokojną głową, staram się nie myśleć...

— Tak, tak, tylko wprzód nagada się tyle z tym profesorem z piąterka przez cały wieczór — dodaje radca.

— A widzi pani? — rzecze z wymówką doktor.

— Ojciec tylko żartuje...

— Jak ciebie kocham, tak nie żartuję. Ja

już dawno leżę w łóżku, a oni tu na laweczce mru, mru, mru; mru mru mru... Powiedz mi co wy tam macie z sobą tyle do gadania? Cały dzień gadają, całe wieczory gadają, miłosierdzie Boże, jak was usta nie zabolą.

— Pan radca ma zupełną słuszność — odzywa się doktor wstając z krzesła i biorąc do ręki kapelusz. — O dziewiątej powinna pani być już w łóżeczku... tak, tak u nas w Krynicy, inaczej nie wolno. A tymczasem od jutra można już pić po trzy kubeczki wody, kąpiołka z rana jak zwykle w czystej wodzie, po południu z błoteczkiem... Nie męczyć się spacerami... No, całuję rączki łaskawej pani, tylko proszę mieć humorek dobry.. Upadam do nóg pana radcy.

— Miłosierdzie Boże, jacy oni nudni! — zawoła staruszek podnosząc się z ławki — tylko ich słuchaj i rób co każą, to zajmą ci swoją kuracyą caluteńki dzień boży, a wszystko to psu na budę się nie zdało. No, moja Madziu — mówi dalej całując ją w głowę — dziękuję ci za śniadanie, uraczyłaś mię po królewsku. Teraz chyba już mogę być spokojnym do południa. A na obiad co kazałaś?

— Jak zwykle, zamówiłam rosół z kaszką.

— Dobrze, a co więcej?

— Pieczeń baranią z kompotem..

— Czy to nie będzie za ciężkie na mój słaby żołądek, hę? Ale niech zostanie... Przepraszam cię, moja duszko, że ja cię nudzę i tak szczegółowo wypytuję, bo widzisz, muszę się do tego co będzie, zastosować. A na trzecie?

— Myślałam że kompot...

— Kompot do pieczeni... hm, coś powiem pani... cienko.

— Może drugie jakie mięso? — proponuje Matylda...

— Zdałoby się, tak coś delikatnego, kurczę niewielkie, tylko uważasz pulchniutkie, tak obsypane bułeczką — mówi staruszek pokazując giestem dłoni przypuszczalną objętość kurczęcia. — Ja, bo widzisz, jeszcze dziś jestem na dyecie; wczoraj brałem moje bernadyńskie krople... dobrze mi robi ten kordyał. Ci bernardyni mają praktyczny rozum...

— Całuję rączki pani dobrodziejki... panu radcy moje uszanowanie — odzywa się z balkonu domu sąsiad pan Klemens, którego czytelnicy jeszcze nie znają.

Jest to trzydziestoletni mężczyzna, brunet, szczupły, wysoki z twarzą bladą choć szlachetną, z czarnemi błyszczącemi oczyma i czarną swobodnie rozrastającą się brodą. Cała powierzchowność pana Klemensa ma w sobie coś melancholicznie cierpiącego, do czego przyczynia się jeszcze ciemny plaid angielski, którym pan doktor filozofii troskliwie owiązał ramiona i cały żywot, jakby na dworze było przynajmniej kilka stopni mrozu.

— Dzień dobry panu! — odzywa się z wdzięcznym uśmiechem wdówka — jakże zdrowie dzisiaj?

— Zawsze toż samo — odpowiada pan Klemens z dziwacznym grymasem na twarzy. — Zawsze tu ssie i ssie — dodaje pokazując ręką na żołądek. — Apetytu nic, w ustach gorycz... ważyłem się rano, tylko sześć łutów więcej...

— Chwała Bogu, zawsze to postęp—rzecze Matylda z uśmiechem nadziei — liczę że codzień będzie lepiej.

— Eh, co to znaczy sześć łutów na takiego mężczyznę, wstyd nawet chwalić się z tego — przerywa radca.

— Żebyś pan zjadł tak jak ja funt razowego chleba, spałaszował jeden, drugi, talerz mléka i potem się zważył, toby przybyło... ale tam kiepskie jakieś sześć łutów...

— Żeby to można, co ja bym dał za to żebym mógł strawić. Bamberger w najnowszem wydaniu, które sobie właśnie sprowadziłem, powiada...

— Nie słuchaj nic co on tam powiada — rzecze z irytacyą radca.

— Ale to najznakomitsza dziś powaga...

— Żeby on dyabła zjadł z tą swoją powagą — przerywa energicznie staruszek — ty rzuć za piec tego Bramberga, posłuchaj mnie, a zobaczysz!

— Jabym umarł, mój radco — mówi z uśmiechem politowania Klemens...

— Jakże można kochany ojcze takie rzeczy jak mleko kwaśne radzić choremu; ojciec zdrów, to wszystko służy...

— Nie umrzesz, zaręczam ci, nie umrzesz! ciągnie swoje radca nie zważając na perswazyę córki. — Co, śmiejesz się niedowiarku, załóżmy się, o co? o co? — woła w zapale wyciągając rękę ku balkonowi.

— I dreszcze nie ustąpiły? — pyta Matylda chcąc zwrócić rozmowę na co innego.

— Tak samo trzęsę się...

— A to już kompletne kpiny, miłosierdzie Boże! Upał trzydzieście gradusów, oddychać trudno, a on się obwija jak mumia egipska... No, i jakże pan możesz być zdrów... niepodobna.

Gdy radca tak sobie mruczy machając ręką z irytacyi, wychodzi do ogródka z drzwi domu elegancko przystrojony Stanisław, a zapinając rękawiczki nuci wesoło:

„I na tej to pajęczynie, co to się tak wątłą zda,
„Oj udało się dziewczynie...

— Stasiu, Stasiu, proszę cię — woła pociągając go za rękaw Matylda — spojrzyjno do góry, przedstawię cię naszemu sąsiadowi, panu Klemensowi... Brat mój, Stanisław — dodaje gdy ten zobaczył na balkonie sąsiada.

— To to ten doktor filozofii — szepnie do ucha Matyldzie — ależ to prawdziwy Piotrowina!... Bardzo mi przyjemnie, bardzo przyjemnie poznać pana doktora filozofii — mówi kłaniając się żartobliwie panu Klemensowi i wyciągając rękę do przywitania...

— Za wysoko, daruj pan...

— Przyjmuję dobre chęci — rzecze z całą uprzejmością Klemens — i cieszę się, żeś pan zawitał do nas. Znając pana z opowiadań szanownej siostry, bardzo sobie życzyłem poznać go osobiście... tylko spodziewaliśmy się jego przybycia dopiero za dwa tygodnie.

Stanisław, mimo tak czułych zapewnień bierze się znów do zapinania rękawiczki i ciszej pyta siostry:

— To on?

Matylda kiwa potwierdzająco głową.

— Poczekajże mój Piotrowino — mówi do siebie — ja ci się tu dam poznać i Emilkę bałamucić.

— Chory biedaczysko — wtrąca ojciec — sypiać nie może.

— Gdzie tam! — dodaje uśmiechnięta Matylda.

— Owszem, znać po panu, wygląda na to.

Radca tymczasem wydobywa z kieszeni paltota flaszeczkę z lekarstwem, z drugiej pakiecik czystego płótna, macza jeden płatek wodą z flaszeczki i z całą powagą kładzie na oko.

— Jeżeli pan pozwolisz — rzecze znów Klemens — mam na bezsenność wyborną radę, środek niezawodny...

— Darujesz pan — mówi żywo Stanisław operując ciągle rękawiczkę — ale w chorobie mam zwyczaj słuchać rad doktorów, ale doktorów medycyny...

— Tak, tak słuchaj ich, a wyjdziesz dobrze jak ja, jak Matylda, jak pan Klemens — odzywa się pan radca zajęty maczaniem drugiego płatka. — Otóż z porady szanownego sąsiada mam wodę na oczy i jak mi pomaga! Matyldo, masz zegarek — mówi oddając jej takowy — mamy teraz dziesięć minut po wpół do jedenastej, proszę cię, powiesz mi jak będzie dziesięć minut po jedenastej... pamiętaj!... I usadawia się z powagą na ławce pod ścianą, przechyla głowę w tył, przyłożywszy zmaczanym płatkiem drugie oko.

— Widocznie — rzecze dalej pan Klemens z balkonu — pan jesteś z tych, co ślepo wierzą patentowanym lekarzom...

— Naturalnie, więcej niż pseudo-lekarzom, których oponowała mania *curaciosa*...

— Daj pokój Stasiu — szepnie mu Matylda.

— Wierz, wierz patentowanym... — odzywa się z pod ściany radca.

— Masz pan oczywisty na mnie dowód — prowadzi rzecz swoją Klemens. — Jak mię zaczęli leczyć na solitera, to soliter został soliterem, a nabawili mię takiego kataru żołądkowego, że dziś już nic trawić nie mogę.

— Eh proszę pana — odzywa się Stanisław — i soliter jest fikcyą i katar żołądka jest fikcyą wylęgłą w głowach hypokondryków, co sami się leczą... (Coś podobnego — mówi ciszej do siostry—jest i z wujaszkiem Maryni.) A żeby pana przekonać, że tak jest, podam mu jeneralny środek na wszystkie w świecie katary... niezawodny...

— Powiedzno... — rzecze radca.

— Pewnie jakie głupstwo — dodaje Matylda.

— Słuchamy, słuchamy — odzywa się z powagą Klemens.

— Przez trzy dni z rzędu—deklamuje seryo Stanisław — zażywać naczczo łyżeczkę kopiastą prawdziwej francuskiej tabaki. Żołądek się wykicha, wykicha, i rzecz skończona... już po katarze!

— Pan sobie pozwalasz żartów! — zawoła gniewnie pan Klemens.

— Wolno panu tak sobie tłumaczyć.

— Alez to impertynencya Stasiu — mówi przestraszona Matylda.

— Może to i praktyczne... tabaka... prawda nosowi służy — mruczy sobie pod ścianą radca.

— Przepraszam państwa — rzecze prędko chowając się w drzwi balkonu pan Klemens — ale nie jestem w stanie prowadzić rozmowy z ludźmi, którzy przychodzą z intencyą ubliżania... Darujesz pan, nie mogę.

Drzwi balkonu zabrzęczały silnie pod ręką zirytowanego sąsiada i ten zniknął w głębi pokoju. (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

X.

Z komitetu wystawy rolniczej we Lwowie, nadchodzą bardzo pomyślne wieści. W ostatnich czasach liczba zgłaszających się wystawców ogromnie się powiększyła, tak dalece, że trzeba będzie prawdopodobnie rozszerzać projektowane budynki. W całem tem pożytecznem przedsięwzięciu, popartem tak patryotycznie przez ogół, znać jednak jeden dysonans, fałszywy i przykry ton, który boleśnie razić musi każdego uczciwego obywatela kraju. Zachodnia część Galicyi z Krakowem na czele, bierze w wystawie udział tak mały, tak nieznacznie ją popiera, że wstyd nawet o tem wspominać. Jakto! więc i tu, w sprawie tak doniosłej, tak pożytecznej, partykularyzm ma wziąć górę; jakaś dziwna, bezpodstawna, bezprzykładna w cywilizowanych krajach niechęć ma odnieść zwycięstwo nad poczuciem obywatelskich obowiązków?

Dziwna to zaiste zagadka, ta niechęć tak smutnie oddziaływająca na nasze stosunki, tem smutniej, że jest domową, pomiędzy obywatelami jednego kraju. Sądzimy jednak, że w sprawie wystawy musi nakoniec ona ustąpić zdrowszym na rzecz poglądom, i że do nowego terminu zgłaszania się, nadejdą z nad Wisły pomyślniejsze wiadomości.

* * *

(ski.) Dawne szkoły wzorowe, przyjęte na fundusz gminy m. Lwowa, zostały nazwane szkołami Konarskiego i Piramowicza; oczywiście z językiem wykładowym polskim; obecnie wskutek agitacyi ruskawo borytela p. B. K. Rada szkolna krajowa zapytuje naiwnie rady miejskiej, czy obstaje przy języku wykładowym polskim. To dziwna! jakimże ma być ten język w mieście, tak na wskróś polskiem, jak Lwów? może angielski lub chiński? To też Rada miejska na ostatniem posiedzeniu *jednomyślnie* odwołała się do swej dawniejszej decyzyi, mocą której we wszystkich szkołach, utrzymywanych kosztem gminy lwowskiej, językiem wykładowym jest język polski.

* * *

(ski.) Na ostatniem posiedzeniu Rady miejskiej dr. A. Małecki w pięknej mowie przypomniał miastu obchód w Kapitolu, jakim burmistrz (syndyk) miasta Rzymu uczcił A. Mickiewicza, a wraz z nim i naród, do którego Mickiewicz należy. Dr. Małecki oświadczył, iż najwłaściwszą by było rzeczą, ażeby Rada od siebie wystosowała pismo do municypalności rzymskiej; gdy jednak statut tego zabrania, wnosi więc, aby dać wyraz naszej radości i wdzięczności za te dowody sympatyi Włoch, przez powstanie. Rada to czyni, hucznemi oklaskami wtórując słowom uczonego profesora historyi i literatury polskiej.

* * *

(X) Pan Wilhelm Leopolski, twórca Klonowicza, o którym czytelnik znajdzie w dzisiejszym numerze dłuższe sprawozdanie, urządza w przyszłym tygodniu wystawę swoich obrazów, w sali domu narodnego. O ile wiemy, znakomity artysta, zebrał trydzieście i kilka płócien, z których połowa w ostatnim roku wykończoną została. Oprócz Klonowicza, będzie tam Gerwazy, W niewoli kozackiej, kilka innych rodzajowych obrazków i wiele bardzo portretów, w których p. Leopolski tak celuje. Już sam Klonowicz wystarczyłby, według naszego zdania, do zainteresowania publiczności, sądzimy więc, że cała galerya obrazów, potrafi ściągnąć tłumy do sali wystawowej.

* * *

(B.) Wtorkowy koncert, w połączeniu z przedstawieniem amatorskiem (Nie ma męża w domu), urządzony w wielkiej sali hotelu George'a pod artystycznym kierunkiem p. dyrektora *Mikulego*, wypadł ze wszech miar nader świetnie. I biorący w niem udział amatorowie — i czytelnia akademicka lwowska — hojnie zostali wsparci gorącem uznaniem i poparciem publiczności. Pierwszym, dostały się w udziale rzęsiste oklaski — drudzy, na niedobór w kasie z pewnością użalać się nie mieli powodu. Licznie zgromadzeni widzowie, każdy niemal numer programu przyjmowali oznakami żywego zadowolenia — a największa ich część przypadła pannie S. i panu K. młodziutkiemu skrzypkowi. Z widocznem zadowoleniem — wywołanem wyborną grą amatorów w komedyjce „Nie ma męża w domu", opuszczała publiczność salę koncertową, przeświadczona nadto, że grosz jej nie poszedł na marne — lecz owszem, posłużył do jak najszlachetniejszego celu, t. j. do wsparcia uczącej się młodzieży.

Kronika odkryć i wynalazków.

Maszyny do pisania. Przyrządy Hansena i Remingtona. Nowe działo włoskie ważące 100 tonn. Doświadczenia p. Pawła Berta nad przewodnictwem nerwów.

Ze wszystkich odkryć największem się cieszą powodzeniem te, które zwykłe, codzienne ręczne roboty, zastępują pracą mechaniczną, i które oszczędzając tak drogi obecnie czas, dają możność użycia rąk do innych, więcej pożytku przynoszących zajęć, a jeszcze w dodatku wykonywują te prace w sposób daleko dokładniejszy i jednostajniejszy. Takiem powodzeniem cieszą się przedewszystkiem maszyny do szycia, które w nadzwyczaj krótkim przeciągu czasu, zdołały się wcisnąć nie tylko do większych magazynów, lecz i do mieszkania najbiedniejszych wyrobnic.

Kto cały dzień piórem pracuje, jako literat w domu, jako urzędnik, w biórze, jako kupiec przy kantorze, ten wie dobrze ile to czasu zabiera i ile ma złych stron rozmaitych, długie pisanie ręczne. Dość przypomnieć sobie ów wpływ szkodliwy na oczy, szczególniej tych, którzy przy świetle lampy pracują. Otóż od dość dawnego czasu pracują już nad wynalezieniem przyrządu, który mógłby zastąpić pisanie piórem, lecz dotąd jeszcze nie otrzymano zadowalniających rezultatów. Przyrządy w ostatnich czasach zbudowane są już bardzo dobre, lecz cena wysoka przeszkadza większemu ich rozpowszechnieniu. Z pomiędzy znanych przyrządów do pisania dwa z nich najwięcej dotąd na siebie uwagę zwróciły. Jeden Hansena jest dawniejszego pomysłu, a drugi Remingtona datuje od bardzo niedawnego czasu.

Przyrząd Hansena jest w sposób następujący zbudowany: na nóżkach umocowaną jest pusta półkula, przewrócona wypukłem dnem do góry. W wydrążonych otworach w tej półkuli, chodzą laseczki metalowe, które u dolnego końca mają czcionkę, a u góry są rozszerzone w dość szerokie i płaskie główki. Skoro się tę główkę palcem przyciśnie, laseczka posuwa się na dół, w kierunku do środka półkuli, i jej koniec z czcionką staje w tym środku. Za odjęciem palca, laseczka parta sprężynką podskakuje w górę i wraca natychmiast do pierwotnego położenia. Na wzmiankowych główkach napisane są litery alfabetu, znaki pisarskie i cyfry, i w ten sposób naciskając rozmaite główki, jakby klawisze, możemy każdą literę sprowadzić do środka półkuli.

Otóż pod tą półkulą na odpowiednim przyrządzie znajduje się papier do pisania. Na nim leży błękitny papier do kopiowania, który się często używa do kopiowania telegramów, listów i t. p. Skoro naciśniemy główkę u laseczki, czcionka zbliża się szybko do środka półkuli, uderza po tym papierze do kopiowania, i odbija literę na papierze pod nim leżącym. Mała maszynka elektromagnetyczna za każdem pociśnięciem główki, przesuwa ten papier o jedną literę naprzód, tak że naciskając po kolei klawisze, otrzymujemy litery wydrukowane jedna obok drugiej. Lecz w ten sposób można było drukować tylko w jednym wierszu; zaradzono temu tak, że skoro się szerokość papieru kończy, dzwonek znać o tem daje i małem naciśnięciem ręki na przyrząd noszący papier, stawia się go w takiem położeniu, że maszyna w nowym wierszu drukować zaczyna.

Słabą stroną tego przyrządu było jego wielkie skomplikowanie, a więc częste reperacye i bardzo wysoka cena. W każdym razie był to bardzo ważny wynalazek, bo okazał, że przyrząd do pisania jest możliwym; oczu nie trzeba nadwerężać, pismo wychodzi od razu jako druk i przy wprawie można do trzech razy pisać prędzej niż zwykle.

Maszyna Remingtona jest w zasadzie do wyżej opisanej podobną, różni się tylko ogólnem urządzeniem, które ma podobieństwo do mechanizmu fortepianowego. Klawisze z literami nie są na kuli, lecz na płaszczyźnie, w kilku rzędach osadzone. Za naciśnieniem tego klawisza podskakuje czcionka na drążku umieszczona do góry i uderza zawsze w jeden punkt, w który wszystkie inne za pociśnięciem uderzają. Otóż na walcu umieszczony papier nastawia się automatycznie tak, że odpowiednie miejsce znajduję się zawsze w punkcie gdzie czcionka uderza.

Cały przyrząd jest mały, bo jego szerokość zaledwie 35 centymetrów wynosi, jest, jak próby okazały, bardzo praktycznym, przy pewnej wprawie pisze się nim trzy razy prędzej niż zwykle; litery odbijają się tak pięknie, że pismo niczem się prawie od druku nie różni, lecz cena jest jeszcze bardzo wysoką (w Lipsku, w głównym składzie 500 marek), i to stoi na zaporze rozpowszechnieniu tego pożytecznego wynalazku.

Bardzo wiele za dobrocią i praktycznością przyrządu przemawia to, że w londyńskich biurach pocztowych został on urzędownie wprowadzony.

Na tem polu jest jeszcze wiele do zrobienia; zwracamy więc na to uwagę wynalazczych umysłów; jedna myśl szczęśliwa, może wszystkim piszącym wytrącić pióra z ręki, a jej twórcę otoczyć nieśmiertelną sławą.

* *

Rząd włoski zamówił w zeszłym roku, u słynnego Sira Williama Armstronga, olbrzymie działo, które miało ważyć 100 tonn czyli 100.000 kilogramów. Działo to już jest odstawione do Spezzii, gdzie z niem robiono przepisane kontraktem próby. Wystrzelono pięćdziesiąt razy, używając nabojów prochu, których waga dochodziła do 130 kilogramów, a pociski ważyły około 1000 kilogramów. Ta wielka massa prochu wybuchając, wywierała olbrzymie parcie na ściany działa: wywiązujące się gazy cisnęły z siłą 20.000 funtów na każdy cal kwadratowy. Pocisk wyrzucony, przeszywał powietrze z szybkością 500 metrów na sekundę, to jest znacznie szybciej niż dźwięk. Ugodzony tym pociskiem, nie słyszałby wcale huku armaty.

*

Strzelano do celu, pokrytego blachami żelaznemi, mającemi około 55 centymetrów grubości; blachy te były zdruzgotane na kawałki. Te nadzwyczaj pomyślne rezultaty, ogromnie poruszyły admiralicyą angielską, gdyż okręt wojenny *Inflexible* uważany dotąd za niedostępny dla największych pocisków, musiałby ustąpić przed nowem działem Armstronga. Kazano już budować okręt o ścianach żelaznych 60 centymetrowych i zamówiono działo ważące 200000 kilogramów, które miotać będzie pociski niesłychanej dotychczas wagi, bo wynoszącej 2.000 kilogramów!

* * *

Jeżeli jakakolwiek część ciała naszego odbiera przykre wrażenie, jeżeli naprzykład dotykamy ręką parzącego przedmiotu, co cofamy wnet rękę, żeby uniknąć tego przykrego uczucia. Odbywa się wtedy następująca czynność w naszym układzie nerwowym: podrażnienie przenosi się po włóknach z materyi nerwowej, zwanych *nerwami czucia*, do mózgu, ten ostatni wydaje rozkaz cofnięcia ręki, i ten rozkaz przebiega już po innych włóknach nerwowych, zwanych *nerwami ruchu*, do mięśni ręki, w których powoduje skurczenie lub rozciągnięcie; ręka usuwa się od przedmiotu czyniącego przykre wrażenie. Trafnie porównano cały mechanizm nerwowy do stacyi połączonych drutami telegraficznymi. Po nerwach czucia idzie telegram do głównej stacyi, do mózgu, ztąd wychodzi rozporządzenie do muskułów po nerwach ruchu.

Zawsze więc idzie podrażnienie po nerwach czucia dośrodkowo, to jest od obwodu ciała do mózgu. Zadawano sobie pytanie, czy też po nerwach czucia może iść podrażnienie w odwrotnym kierunku, lecz odpowiedzi dokładnej nie było dotąd.

Ważnym przyczynkiem do tej kwestyi jest doświadczenie prof. Pawła Berta, o którem zdał sprawę w Akademii paryskiej nauk. U myszy obnażył on ze skóry koniec ogona, podniósł go do góry i przywiązał do małej rany zrobionej skalpelem na plecach tegó zwierzątka. Prędko się rana zagoiła, i ogon myszy był bez... końca. Po ośmiu miesiącach przecięto go pośrodku, i z grzbietu myszy wyrastał mały kawałek ogona. Otóż za naciśnięciem tego kawałka mysz piszczała i uciekała, widocznie więc czuła ból. Ztąd wniosek, że ponieważ nerwy w tym przyrośniętym kawałku miały położenie odwrotne niż w naturze, więc podrażnienie przenosiło się po nerwach czucia także w kierunku odwrotnym niż w naturze.

Jednak decydującem to doświadczenie nie jest, bo mogło się tak stać, że z obnażonej na grzbiecie skóry, włókna nerwowe wrosły do ogona, jak to ma miejsce przy przenoszeniu kawałków skóry z jednego miejsca ciała na drugie. *B. Abakanowicz.*

Tydzień Warszawski.

II.

Niebo łaskawszem było na święta „urzędowe" aniżeli na nasze. Najpiękniejsza pogoda, a można nawet powiedzieć upał, tak wiosennie usposobiły Warszawian do przechadzek, że w niedzielę i poniedziałek formalnie przejść było trudno przez ulicę — a ujazdowska aleja roiła się stotysięcznym tłumem, który płynął i płynął od 3ej po południu do 9ej wieczorem jednym wielkim strumieniem. Już to nasza Warszawka ma słabość do wygrzewania się na słońcu. Czy myślicie, że to przeszkodziło odczytom? Gdzieżtam! Na prelekcyach mecenasa Pepłowskiego „O prawach kobiety" i fizyka Dziewulskiego „O cieple," było prawie pełno. Pierwsza jednak nie zupełnie zadowolniła krytyków, a w szczególności kobiety, prelegent bowiem utrzymywał, że prawa jakie dziś kobiety posiadają, są zupełnie wystarczające. Kilka młodych pań zamanifestowało swoje niezadowolenie w sposób dość niegrzeczny, gdyż w połowie odczytu wstały i wyszły z sali z hałasem. Pomimo to część publiczności, również ostentacyjnie nagradzała mowcę oklaskami. Publiczność warszawska tylko wtedy nie przychodzi, kiedy albo nie zna występującego, albo gdy go zna ze złej strony — zresztą obojętności na cele poważne zarzucać jej nie można. Odczyt p. Piltza „O osadzie robotniczej w Mülhouz'ie" wcale nie przyszedł do skutku, bo go cenzura wstrzymała. Dla czego? Dla tego, że wszelkie poważniejsze stowarzyszenia robotników, chociażby czysto-ekonomicznej natury, sprzeciwiają się intencyom „najwspaniałomyślniejszego monarchy." Macie tu próbkę naszej swobody. Odczyty p. Ochorowicza „O twórczości poetyckiej" także o mało że nie zostały wstrzymane, bo według nowego ukazu ministra do otrzymania pozwolenia potrzeba tylu formalności, że kto dostanie odpowiedź w ciągu kilku miesięcy, może się uważać za bardzo szczęśliwego. Prelegent więc nie chcąc robić zawodu publiczności opóźnieniem, ofiarował dochód na rzecz warszawskiego Towarzystwa dobroczynności i skorzystał z pozwolenia już udzielonego na całą seryą odczytów. Tym sposobem wykłady te, w których publiczność oczekuje odpowiedzi na niektóre wybryki prof. Tarnowskiego, odbędą się nie w resursie, lecz w wielkiej sali ratuszowej.

Mówiąc o odczytach, muszę jeszcze wspomnieć o jednej bardzo praktycznej myśli. Już przed kilku laty niektórzy prelegenci warszawscy pp. Doliński, Prus, Kamiński, Suligowski i inni, na wezwanie prowincyi powtarzali swe odczyty w większych miastach Królestwa, na cele dobroczynne. Teraz myśl tę w pewnym kółku wznowiono, z tą różnicą, że będzie chodziło głównie o małe miasta, tj. te, które jeszcze wcale odczytów nie słyszały. Wykłady mają być powtarzane kilkakrotnie... rozumie się, jeśli rząd na to pozwoli.

Mimo znacznych postępów, jakie Warszawa pod względem powierzchowności swej uczyniła — brak nam jeszcze bardzo wielu rzeczy — a przedewszystkiem bruków; tylko pierwszorzędne ulice są porządnie zaopatrzone już to w bruk kostkowy, już też żelazny lub asfaltowy — inne, Boże odpuść! przypominają najgorsze żydowskie miasteczka. Otóż dowiaduję się w tej chwili, że towarzystwo złożone z kapitalistów i techników zaproponowało zarządowi miasta wyasfaltowanie ulic według nowego systemu, na bardzo korzystnych warunkach. Może więc nareszcie niedługo przestaniemy obijać sobie boki, podróżując po górach i dołach ubocznych ulic naszego miasta.

W wydawnictwach czasowych zaszły lub zajdą znaczne zmiany. Dotychczasowy współwydawca *Tygodnika powszechnego*, p. Henryk Peszyński, wycofał się z pisma i ma zamiar wydawać nowy tygodnik specyalnie „dla panien" poświęcony. Dwa najpoczytniejsze pisma ilustrowane także zmieniają redaktorów: z *Kłosów* występuje dotychczasowy kierownik Adam Pług (Pietkiewicz) i miejsce jego ma zająć również idealista czystej wody, dotychczasowy redaktor książkowych wydawnictw Glücksberga, p. Stanisław Krzemiński. W *Tygodniku* zaś *Ilustrowanym* p. Ludwik Jenike będzie miał wyprawiony 25 letni jubileusz działalności redaktorskiej i także występuje z pisma. Nie wiadomo jeszcze kto go zastąpi, a nie będzie to łatwem. Tymczasem *Biesiada Literacka*, czwarte pismo ilustrowane, zjechała z całym zasobem niedołężnego jezuityzmu do obozu ultramontanów i w naiwności swej mniema, że schlebiając ciemnym masom, dojdzie do pokaźniejszej jeszcze liczby prenumeratorów; ale skutek zdaje się będzie wprost przeciwny, bo publiczność czuje przyczyny tego zwrotu i śmieje się ze „świeczek stawianych przed obrazami," którymi redakcya chce „ratować okręty od rozbicia." Z nowych gazet *Kuryer Poranny*, który jak pisałem, bardzo mizernie się przedstawiał, zaczyna przychodzić do zdrowia. *Nowiny* także coraz lepsze.

Z zabaw publicznych, przygotowuje się koncert studencki, na którym deklamować będzie Królikowski, przedstawienie amatorskie w Dobroczynności ze współudziałem p. Horbowskiego i pani Uszyńskiej. Obrazy żywe na „Przytulisko," a nadto zapowiadają nam przybycie dla dania koncertu panny Justyny Marchwic, Polki, zaangażowanej do Londynu, a która ma posiadać śliczny kontralt. Opera zaś nasza wzbogacona została nowym utworem Brzozowskiego, laureata z Brukseli pt. „Alvarello." Kiedy nastąpi wystawienie tej opery, nie wiadomo jeszcze — tymczasem usłyszymy w niedzielę na poranku p. Kratzera, (autora popularnej piosnki „Ujrzałem raz"), dwu naszych tenorów Filleborna i Cieślewskiego w duecie z opery „Il Bravo." Będzie też śpiewała Dowiakowska, a w części deklamacyjnej wystąpią najlepsze siły, bo Królikowski, Rapacki, panna Popiel i panna Daryng. W teatrze ujrzymy w przyszłym tygodniu jednoaktową komedyjkę Felicyana (Faleńskiego) pt. „Krzyżyk na drogę," którą *Echo* drukowało w odcinku. Z komedyi Fredry najprzód będzie przedstawiony „Wielki człowiek," ale dopiero odbywają się pierwsze próby.

Jeźli się tak dobrze bawimy teraz, to pomyślcie co to będzie na lato, kiedy trupy prowincyonalne osiądą w ogródkach, kiedy orkiestra Fliegego zajmie „Dolinę Szwajcarską," a dyrektor Kątski ze swą gwardyą zakwateruje się w ogrodzie Saskim! A będzie to nowość godna uznania, bo p. Kątski wystąpi z muzyką poważną.

I jeszcze jeden koncert.

Były uczeń Kątskiego p. Kaścich, podobno niepośledni baryton, śpiewa dziś u pijarów, a wkrótce wystąpi na estradzie.

Wydawca *Kłosów* S. Lewental, rozpoczął wydawnictwo „Dzieł Józefa Kremera," pod nadzorem prof. H. Struvego. Pierwszy tom wyszedł już z druku i zawiera „Wykład systematyczny filozofii" (14 ark.) i „Listy z Krakowa" (12 ark.) Z innych wydawnictw wspomnę jeszcze o „Roczniku Literackim" p. Czarnowskiego, który w tym roku nie bawi się już w sumaryczne krytyki książek, ale natomiast daje pełniejszy bibliograficzny obraz ruchu literackiego i naukowego; wreszcie do pocieszających wiadomości należy zamierzone wydanie polskiego „Kalendarza dla Izraelitów," który ma zastąpić dotychczasowe hebrajskie.

Piśmiennictwo polskie.

Żywe słowa Jeremiego. Lwów 1877. Nakładem Karola Wilda. (T.)

Lewicki Anatoli, prof. Dr. Wratysław II czeski, królem polskim. (sprawozdanie dyrekcyi c.k. gimnazyum w Przemyślu za rok szkolny 1876) str. 36. (M.)

Rozbrat myśli i ujemne strony naszego piśmiennictwa. Napisał M. Krasuski Lwów 1877 u Karola Wilda. (L.)

Porównywano poetów do gwiazd, do słowików, do orłów; ten, którego książkę mamy przed sobą, da się porównać chyba do wulkanu. W porze zwyczajnej jest to zwykły szczyt odosobnieniem tylko zwracający na siebie uwagę, tak zamknięty i spokojny, iż nikt nie podejrzywa pokładów palnych w jego wnętrzu. Ale niechże tylko zatrzęsie się ziemia, a wulkan wnet zaczyna sypać iskry i ognistą lawę dobywać z łona. Niech zajdzie coś takiego w kraju co wszystkich poruszy i wstrząśnie, niech przypadnie wielka jakaś rocznica, która wszystkich zelektryzuje, wnet Jeremi jak wulkan się odzywa, i sypie iskrami słów, a wymowa jego ma siłę rozpalonej lawy.

„Żywe słowa Jeremiego" są właśnie szeregiem wybuchów tego Wulkanu od 1863 do 1877. Przemowy naszego poety, wszystkie okolicznościowe, umieszczone są w chronologicznym porządku, proza więc miesza się tu z wierszami. Znajdujemy tu Obronę sądową przy ostatecznej rozprawie w procesie prasowym we Lwowie jeszcze z 1863 r.; Na zgon rozstrzelanych w Irkucku z r. 1867; Improwizacyą podczas uczty na cześć Kraszewskiego we Lwowie w tymże roku; Słowo w stoletnią rocznicę zawiązania Konfederacyi Barskiej; Mowę na pogrzebie Artura Grottgera, Mowę podczas uczty dla Karola Libelta; Odpowiedź na zaproszenie prągskiego komitetu uroczystości w pięciusetletnią rocznicę urodzin Jana Husa; Toast na cześć Wielkopolski na zjeździe polskim we Lwowie; Przemówienie do Seweryna Goszczyńskiego przy ofiarowaniu „Sobótki" i ze dwadzieścia innych jeszcze przemówień lub toastów.

Wszystkie one są wylewem gorącego patryotycznego uczucia, wszędzie głęboka wiara w przyszłość narodu, czasami nawet w zapędach swoich fatalistycznym wyrywająca się okrzykiem, jak n. p.

w niezrównanym pod względem formy i patryotycznego zapału Toaście na cześć Wielkopolski. Nie godząc się wcale z owym fatalizmem, który czyni zbytecznym wszelki udział naszej woli w zdobyciu przyszłości, nie możemy się jednak powstrzymać od przytoczenia ostatnich zwrotek tego wiersza, aby tym którzy nie znają „Żywych słów Jeremiego" dać próbkę bogactwa formy, potęgi i sprężystości słowa tak w tym wierszu, jak i w innych przemówieniach naszego wieszcza:

Szerzy się w sercach i mózgach zaraza,
Idzie wiek straszny pychy i żelaza,
Padną tyrani wielcy, zastąpią ich mali,
Równie bezbożni, a bardziej zuchwali.

I wytknie się im droga
Bez Boga!
I porwie ich zawierucha
Bez ducha!
I poczną żywot w bydlęcej niskości,
Bez pieśni i bez miłości!

O Polsko nasza, przyszła matko ludów!
Ponad kałuże krwi i ścieki brudów,
Ty wtenczas prawa boże i święte zwyczaje,
Będziesz na białem, orlem skrzydle nieść!

A więc nad wszystkie świata kraje
Tej ziemi cześć,
Tej ziemi cześć i chwała,
Co białe orły wydała!

Rozporządzeniem ministerstwa oświaty z dnia 9. czerwca 1875 wprowadzone zostało nowe postępowanie w wydawaniu programów (sprawozdań) szkolnych. Część administracyjna sprawozdań tych nie nas tutaj nie będzie obchodzić — ciekawych odsyłamy do rozporządzenia (Zeitsch. f. oest. Gimn. 1875 str. 572—4), więcej nas zajmie rozporządzenie odnoszące się do naukowej części. Dawniejsze postanowienia co do wydawania sprawozdań albo poszły w zapomnienie, albo treść ich spaczoną została. Niejedna szkoła nie wydawała zupełnie sprawozdań, a w wydanych albo tylko część administracyjna była uwzględnioną albo gdy dodano do którego rozprawę, to ta zwyczajnie była ubraniem w nową foremkę starych, obcych badań. Nie tylko w Galicyi tak się działo — mieliśmy nie jeden program czeskich gimnazyów, a z małymi wyjątkami, były tam rozprawy bez wszelkiej wartości. Trafiały się wprawdzie wyjątki, w programie opawskim na rok 1860 znaleźliśmy przesławną rozprawę Röslera o najdawniejszej historyografii węgierskiej — ale te były tak rzadkie, że ministeryum uważało za stosowne rozporządzić iż *każda* szkoła *jest obowiązaną* do wydania programu gdzie *musi się* znachodzić rozprawa naukowa, któraby umiejętność *dalej posuwała* a nie streszczała popularnie tego, co inni wypowiedzieli; wybór umiejętności jest dowolnym i zależy od dyrektora zakładu. Jeden z profesorów ma napisać rozprawę za porozumieniem się z gronem nauczycielskiem. Po roku ogłasza ministeryum wykaz rozpraw w dzienniku państwa.

Rozporządzenie to sprawiło zbawienne skutki, pominąwszy bowiem takie rozprawy, które z celem rozporządzenia się nie zgadzają jak: „stosunki Henryka III z kuryą rzymską i książętami Rzeszy" (Tarnopol) i „Walka Kuryacyuszów z Horacyuszami" (Tarnów), ukazały się w sprawozdaniach z roku ubiegłego tak świetne rozprawy jak „Ody Sarbiewskiego" (Lwów) i jak „Wratysław II" o którym obecnie pomówić mamy.

Niedawno mówiliśmy na tem miejscu o poprzedniej pracy p. Anatola Lewickiego p. t. „Mieszko II", a sąd nasz wypadł bardzo pochlebnie dla autora, dziś to samo wypowiedzieć nam tu przyjdzie, ale naprzód poznajmy treść pracy:

Kuźma pragski (tak zwie p. L. „Kosmasa" właściwem jego imieniem) zapisuje pod r. 1086, iż Henryk IV nadał na sejmie w Moguncyi księciu Wratysławowi Czechy i *Polskę* i że tenże w Pradze na króla czeskiego *i polskiego* był koronowanym. Wiadomość tę potwierdzają, choć tylko w ogólnych rysach, dyplomaty owego czasu. Mimo to oddanie *Polski* Wratysławowi i to w czasie, kiedy Władysław Herman, żyjący zawsze dobrze z cesarzem, siedział na tronie polskim, gmatwa całą sprawę, a kilkunastowierszowa wzmianka Kuźmy, wydaje się być dziwną zagadką, nad którą tak nasi badacze tej epoki jak czescy i niemieccy, każdy z swych powodów poprzechodzili do porządku dziennego. Jeden tylko Gisebrecht stara się ją wyjaśnić ale i on „pozostawia kwestyą otwartą". Autor założył sobie tedy rozwiązanie tej łamigłówki.

W pierwszym ustępie ustala autor fakt, iż tej wiadomości Kuźmy nie można odrzucić bez namysłu, gdyż Kuźma jest współczesnym i był przy nadaniu tem obecnym. Dalej oświadcza się autor za zdaniem Giesebrechta, iż dwa listy po raz pierwszy przez Peza oddrukowane, muszą do tego czasu należeć a dowiódłszy tego wyciąga z nich wniosek iż Wratysławowi w. r. 1086 dodawano tytuł króla polskiego, i że nadanie mu Polski przez cesarza Henryka IV nie w innem, jak nieprzyjaźnem znaczeniu dla Władysława Hermana uskutecznionem zostało. Z tem łączy autor bardzo trafnie falsyfikat, przedłożony Henrykowi IV na tymże samym zjeździe w Moguncji w r. 1086 do potwierdzenia, mocą którego to niby biskup pragski jeszcze za panowania Mieszka I miał sobie nadane ziemie polskie aż do granic Czerwonej Rusi; przychodzi tedy autor do przekonania, że to nadanie Polski Wratysławowi i sprawa, jaką niby miał udowodnić ten falsyfikat, muszą stać w związku, przyczem wysnuwa autor z tego falsyfikatu trafne wnioski co do granic polskich od wschodu. Przygotowawszy tak materyał, przechodzi autor w ustępie trzecim do przedstawienia całej tej sprawy: Władysław Herman jest aż do r. 1085 w przyjaźni z cesarzem Henrykiem IV. Dopiero po wojnie Władysława węgierskiego z Władysławem Hermanem, i może wskutek traktatu wraca Mieczysław syn Bolesława Śmiałego do ojczyzny, a nie związany obecnie niczem Herman, przerzuca się na stronę przeciwników cesarskich. Cesarz rozgniewany tym nadaje Wratysławowi, który się nosił z utworzeniem wszechsłowiańskiego państwa, Polskę. W roku jednak 1087 przybywają posłowie polscy do Spiry, a cesarz pojednywa się z Władysławem Hermanem. Wratysław, dotąd przyjaciel cesarza, staje się odtąd jego zaciętym wrogiem.

Kończąc mówi autor: „Plan więc cały okazuje się nam jako chwilowa chimera, nie licząca się z rzeczywistymi stosunkami, do której wykonania nigdy nie przyszło i o której też mało kto wiedział."

Jak pierwsza praca autora: "Mieszko" tak i ta jest tak pod względem opracowania, jak i języka, wyborną. Autor powinien by się postarać o tłomaczenie niemieckie, aby i świat uczony niemiecki zapoznać się mógł z tą wyborną rozprawą.

Wiele też to książek, miły Boże, mimo uczciwych myśli autora, mimo dobrych jego chęci, najniepotrzebniej na świat wychodzi. A najwięcej do ich szeregu przybywa dziełek okolicznościowych, pisanych przez ludzi nieznanych, wydawanych nakładem autora i przeznaczonych jedynie na to, żeby ich nikt nie czytał, i żeby nawet dziennikarze, którym autorowie darmo przysyłają eksemplarze, po trzech dniach o ich tytule zapomnieli!

Mamy przed sobą broszurę: *Rozbrat myśli i ujemne strony naszego piśmiennictwa. Napisał M. Krasuski.* Znać z najrozmaitszych ustępów, poczciwą chęć autora, lecz, w jakim celu broszura napisana nie wiemy. Autor prowadzi polemkę z niektóremi warszawskiemi pismami, daje im oryginalne nieraz rady, filozofuje w sposób najdziwaczniejszy stylem wcale nie akademickim, i w dodatku traktuje rzecz tak, że praca jego nie może przejść po za kordon. Któż ją więc będzie czytał, bo przecież w Galicyi znajdzie kilku może ludzi, którzy rozbierane przez autora pisma czytają a admonicye w niej wyrażone tylko tam mogą mieć jakiekolwiek znaczenie; więc *cui bono?*

Na jednę tylko stronę chcemy zwrócić uwagę. Już niejednokrotnie pojawiały się u nas rozprawy wymierzone głównie przeciwko warszawskiemu *Przeglądowi Tygodniowemu*. Polemikę z pismem tego rodzaju uważamy za zupełnie zbyteczną, nawet niekorzystną. Pismo, które żyje skandalem, potrzebuje takiej reklamy, szerokie mówienie o niem, nawet w sposób ujemny, daje mu powodzenie, *un succès de scandale.* Gdyby pisma warszawskie umiały w swoim czasie zbywać wybryki Przeglądu milczeniem, nie miałby on zapewne takiego jak dziś powodzenia, zginąłby w zimnej niepamięci. Ale psiać cale długie o nim broszury, to za wiele dlań zaszczytu, a za mało poszanowania siebie samego.

Kronika artystyczna.

W pracowni pana Leopolskiego.

Są temata, taką wywierające władze na pewnych artystów, tworzących czy to słowem, czy dłutem, czy pędzlem, że ci stają się formalnie ich niewolnikami i nie mogą spocząć, lub wziąć się do czego innego przed ukończeniem tych tematów. Ukończeniem! ale jakiem ukończeniem? Taki temat, o jakim mówimy, nie pozwoli, aby go zbyć ladajako. Nie, nie da się on oszukać, zatrzyma choćby jak zmęczonego artystę, i każe niewolnikowi swemu pracować tak długo, aż póki wszystkim kaprysom pana nie stanie się zadość, albo póki ten nie nastraszy się buntu i nie odprawi niewolnika dobrowolnie.

Takim tematem dla pana Wilhelma Leopolskiego jest Klonowicz. Wiadomo od jak dawna tragiczna ta postać zaprząta myśl naszego artysty. Na przeszłorocznej wystawie widzieliśmy już obraz na ten temat; publiczność z zajęciem garnęła się do obrazu, krytyka wydała o nim sąd najzaszczytniejszy. Ale choć wszyscy obsypywali pochwałami obraz p. Leopolskiego, sam on nie był zadowolony ze swego dzieła. Niewolnik swego tematu, czuł on, iż nie zadowolnił pana jak należy i wziął się do zupełnie nowej roboty na ten sam temat.

Stoimy właśnie przed nią. Izba naga, pusta, zimna. Ciemna ściana służy za tło obrazu. Przy końcu ściany drzwi ciężkie, żelazne, które zdają się mówić, że kto tu się dostał, nie potrafi już ich odchylić. Szczęściem, nie są domknięte i widać trochę szarego światła; aż się lżej robi na piersiach.

W pośrodku izby, dość daleko od głównej ściany, na łożu przypartem do filaru, na wpół leży, na wpół siedzi Klonowicz. Koszula na nim zgrzebna. Jedną ręką wsparł swą twarz bladą i wynędzniałą, a w drugiej trzyma książkę. Zmęczony wzrok zapuścił gdzieś przed siebie w przestrzeń, daleko, zdaje się jakby myśli jego gdzieś się w krainie nieznanej błąkały, świata tego nie widzi, nie widzi siedzącego obok Jezuity, wychylonego cokolwiek naprzód, i patrzącego badawczem okiem na poetę. Obok na ławie i pod ławą przy poduszkach, pełno książek rzuconych w nieładzie, cały to zarobek z długiego, pożytecznego a uczciwego życia. Jak Klonowicz jest obrazem fizycznego wycieńczenia, tak Jezuita reprezentuje fizyczne zdrowie, w jego najmniej przyjemnej postaci. Nie jest to nawet typ specyalnie jezuicki ze swoją misterną pokorą na twarzy; jest to raczej typ jakiegoś prałata, w którego twarzy doczesne sprawy żołądka i kieszeni odbijają się jak w zwierciedle, nie przykryte firanką pobożności.

Na całym obrazie, w całej tej dużej, ciemnawej, z góry szaro oświeconej izbie, widzimy tylko tych dwóch ludzi. I w istocie nie potrzeba więcej dla stworzenia obrazu przejmującego boleścią. Z jednej strony myśl szlachetna, wzniosła i swobodna, złamana w walce z życiem, z którego formułek chciała się wyłamać, z drugiej strony zmysł praktyczny, skierowany ku zadość uczynieniu potrzeb niższego rzędu, z poświęceniem wyższych. Na dawniejszym obrazie, przedstawiającym Klonowicza, był jeszcze doktor; artysta uznał tę postać, i słusznie, za nadto obojętną, za niepotrzebną i usunął ją teraz z obrazu, stawiając Jezuitę sam na sam z poetą.

O technicznej stronie obrazu, jako profan,

mogę to tylko powiedzieć, że będzie ona ucztą dla malarzy. Niezmierna plastyka przemawia z pojedyńczych szczegółów; te książki leżące na ławce i pod ławką tak zwodzą oko, iż chciałoby się sięgnąć ręką po nie i odchylić pargaminowe ich okładki. Nigdzie nie ma widocznego gonienia za efektem, nigdzie nie ma owych sztuczek, których nawet więksi mistrze używają czasem dla zjednania sobie uwagi tłumu. Najwięcej jednak może zachwycać będzie znawców koloryt, który doskonale odpowiada tematowi i żadnym rażącym tonem nie narusza harmonii. Obraz cały, to jakby jeden jakiś spokojny choć żałośny chór muzyczny, bez śladu dysonansu, bez śladu jaskrawych efektów. Wzrusza on swą prostotą.

Przestajemy tu na pobieżnej tylko wzmiance; kompetentne pióro da nam niedługo ocenę artystyczną tego obrazu.

Klonowicz, nabyty już przez jednego z naszych, nazbyt nie licznych amatorów sztuk pięknych, dr. Weigla, ma być za kilka dni wystawiony na widok publiczny. J. T.

Ze świata muzycznego.

Hugo. Ballada p. Jareckiego; Marsz żałobny Tarnowskiego.

Niedawno temu pan Jarecki przedstawił nam na swój benefis utwór muzyczny większych rozmiarów p. t. *Hugo*; — za libretto służył znany poemacik Słowackiego; dziwiło nas tylko bardzo, że p. Jarecki wybrał jeden z najsłabszych utworów tego mistrza słowa, jeden z takich, które najmniej są zdolne porwać za sobą. Zresztą z panami kompozytorami trudno się o to spierać, biorą co do nich przemawia.

W balladzie p. Jareckiego chór prowadzi długie opowiadanie; jest to środek bardzo niewygodny. Najlepiej się do tego nadają recitativa, a chór staje się *à la longue* nudnym, trzeba szczególnego znawstwa i zamiłowania, by bez zmęczenia módz słuchać godzinami różnych zmian w harmonii. Jak potrawa codzienna, traci chór cały powab, który mógłby mieć służąc do przeprowadzenia tylko pewnych skończonych i zaokrąglonych zdań i myśli muzycznych.

Łatwiej byłoby opowiadać za pomocą solowych głosów, bo w recitativach i pieśniach pozostawia się orkiestrze daleko większą swobodę w illustracyi, a przytem chórów używać można do pewnych, szczególniej pięknych miejsc tekstu, i do budowy, przy tej sposobności, pięknych form muzycznych, które niemal zmuszają słuchacza do przejęcia się myślą kompozytora.

W kompozycyi pana J. wszystko przed nami ucieka, myśli tak się prędko zmieniają, że nie mamy czasu z niemi się oswoić. Pan J. zrozumie o co nam chodzi, jeśli porówna swego Hugona z kompozycyami mistrzów niemieckich; zacytujemy tu tylko Schumanna *Der Rose Pilgerfahrt* i *Das Paradies und die Peri*. W ostatniej np. kompozycyi chór wyjątkowo tylko opowiada, ale jakie cudowne okresy tworzy Schumann na tle tylko kilku wyrazów, w numerach 9, 11, 13 (*Denn in der Thrän' ist Zaubermacht. die solch ein Geist für Menschen weint*), 22, 24.

Pierwszy chór Hugona przypomina motyw z Halki „jakoś tak dziwnie w tem wielkiem mieście“. Następujące solo Hugona, jest dramatyczne i robi poważne wrażenie. 2gi chór miał zamiar kompozytor, jak się nam zdaje, nacechować charakterystyką sielską i narodową, ale nie dosyć wybitnie to przeprowadził. Pierwszy chór drugiej części, więcej się nam podobał niż poprzednie; idąc dalej spotkaliśmy coraz więcej życia, z malemi wyjątkami. Kulminacyjnemi punktami są solo Blanki i marsz pogrzebowy, które pozostaną na zawsze pomiędzy perłami naszej literatury muzycznej.

Ponieważ jedno z pism wspomniało o fudze w ostatnim numerze Hugona, musimy tu wyrazić właśnie prawdziwy żal do pana Jareckiego, że nie rozwinął tu wcale fugi, lecz doskonały motyw „Nadeszła straszna godzina wyroku“ urwał tak prędko, że ledwie małe fugato ale nie fuga pozostała.

Z tego ostatniego utworu p. Jareckiego, widzimy w nim kompozytora bardzo poważnego zakroju, umiejącego doskonale używać głosów i orkiestry. Mamy nadzieję, że studyowanie mistrzów innych narodów, rozwinie w nim potężnie talent sam przez się znakomity. We Lwowie kompozytor żyje w ciężkich warunkach, wzorów muzycznych słyszeć nie może, trzeba temu samemu szperać i zagrzebywać się w pracy mozolnej.

Z księgarni p. Karola Wilda wyszedł Marsz żałobny, poświęcony przez kompozytora, p. Wł. Tarnowskiego, pamięci Augusta Bielowskiego. Jestto urywek z większej całości symfonicznej. Dość znaczna ilość, jak się nam zdaje omyłek drukarskich utrudnia ocenę. I tak np. str. 1 trzeci takt od końca, g i gis; ostatni takt w czwartym wierszu, ma być zapewne w pierwszym akordzie his zamiast h. Na str. drugiej, takt piąty za wcześnie wprowadza c. Str. 5 takt szósty od końca, brak klucza basowego.

Z całego marszu najlepszem jest Trio. Całość jest oryginalna i ładna, lecz spotkać można wiele miejsc przesadzonych. W ogóle widać wszędzie znaczną ilość przesady, cechującą zwykle młodych kompozytorów. Wydanie bardzo ładne, szczególniej okładka tytułowa, która przynosi zaszczyt litografii Towarzystwa przemysłowego. ...r

---

POGADANKI.

XXX.

Miasto Lwów ma stu radnych. W zwykłe czasy, zgromadza ich się co czwartku z konieczności 51, bo inaczej, nie ma kompletu. Jeżeli chodzi o obsadzenie jakiej posady, lub o oddanie jakiego przedsiębiorstwa, *senatus Leopoliensis* zgromadza się w tej liczbie bez nadzwyczajnych wysileń ze strony burmistrza i gorliwszych swoich członków. W innych wypadkach, bez znanego anglomanom krajowym „*whipping-in*,“ rada gminna byłaby niezdolną do powzięcia jakiejkolwiek uchwały.

Otóż w czwartek, stał się cud istny. Na porządku dziennym nie było ani nominacyi, ani asfaltu, ani szutru, ani cegieł, ani śmiecia. Nikt nie chodził i nie zaklinał opieszałych, by spieszyli do ratusza. Pomimo to, zdumiony prezydent miasta obliczył, że prezyduje więcej niż trzem czwartym częściom ojców i ojczymów naszych, i że gdyby chciał, i gdyby rzecz warta była zachodu, mógłby się każdej chwili w największej zgodzie z ustawami, kazać wybrać się na nowo kozłem ofiarnym lwowskiej autonomii gminnej.

Co się stało — nie wiem. Sądzę wszakże, że kiedy większe zdarzenia wiszą niejako w powietrzu, uczucie szczególnego jakiegoś rodzaju przejmuje indywidua, z natury lub z urzędu skazane na stowarzyszanie się, i że zdarzenie takie właśnie w czwartek *wisiało* w powietrzu, i spowodowało takie nadzwyczajne zgromadzenie.

Dzienniki codzienne, wbrew zwyczajowi swojemu, zajmowały się w tym tygodniu kwestyą na wskróś literacką. Opisywały one, jak uroczyście miasteczko pewne, położone nad Tybrem, w tak zwanej Italii, uczciło Mickiewicza. Jakkolwiek o miasteczku tem wiadomo u nas zaledwie tyle, że posiada ono tę właściwość, iż wszystkie drogi doń prowadzą, to choćby to był i Kulików, jeszcze zawsze żaden gród autonomiczny nie może oprzeć się ciekawości dowiedzenia się, co też tam gdzieindziej o sprawach jego uchwalają.

I oto wystąpił profesor dr. Małecki, przedstawił w krótkich słowach, co uchwalono w radzie gminnej owego miasteczka — (A! Otóż właśnie przypomniałem sobie, że nazywa się ono Rzym, i że w *Conversations - Lexicon* Brockhausa, z którego czerpię zwykle moję erudycyą, nie ma ani jednego słowa, któreby się zaczynało od *rz*) — owoż tedy, dr. Małecki przedstawił, że oddano tam w niezwykły i nader urzędowy, tudzież popularny sposób, hołd i uznanie znanemu *literacie* Mickiewiczowi, co jest bardzo piękną rzeczą ze strony Włochów, o których wiedzieliśmy dotychczas tylko, że handlują figurkami gipsowemi i biorą w przedsiębiorstwo roboty ziemne na kolejach żelaznych.

Dosyć, że na wezwanie prof. dr. Małeckiego, cały senat królewskiego naszego, i po części zabudowanego już i wybrukowanego grodu, wstał jak jeden p. Piątkowski, na znak podziękowania dla Rzymian.

Dotychczas, nie ma w tem nic szczególnego. Ale oto dowiaduję się z encyklopedyi Orgelbranda, że owi Rzymianie już w r. 1848 ni ztąd ni zowąd powzięli mniemanie, że Chrystus Pan królestwo swoje nazwał królestwem nie tego świata. W skutek tego zbuntowali się przeciw papieżowi rzymskiemu, twierdząc, iż świeckie i ziemskie jego panowanie nie ma podstawy w naukach świętej naszej wiary. Wówczas „dano im radę,“ i wystrzelano, tudzież wywieszano najkrnąbrniejszych. W dwanaście lat później wszelako, postawili na swojem, i Ojciec Święty został wyzutym z mocy panowania nad ich życiem doczesnem, krótkiem i marnem, a pozostała mu tylko władza nad życiem wiecznem, czuwanie nad zbawieniem dusz, i nad krótszym lub dłuższym ich pobytem w czyśćcu.

Co się mnie tyczy, jestem tak złym teologiem, że zdaje mi się, iż Ojcu Świętemu została zawsze największa część jego władzy, która w dodatku do pałacu Watykańskiego, do kwoty, którą mu płacą Włochy, i do znacznej sumy Świętopietrza, zwożonej z całego świata, jakoteż w dodatku do głębokiej czci religijnej, jakiej osoba jego — nawet u innowierców, doznaje, mogłaby każdemu innemu synowi kobiety wydać się brzemieniem prawie nie do zniesienia. Wżdy ten, którego on jest następcą, urodził się w stajence, i nie miał nigdy dachu własnego nad głową, itd. itd. (*vide catechismum*). Lecz mniejsza o to, że *ja* nie jestem teologicznie wykształconym. Cały sęk leży w tem, że *Czas, Przegląd Polski*, i ośmiu przysięgłych w Tarnopolu, uważają Rzymian za bezbożników, i za buntowników przeciwko słowu bożemu, z powodu iż uznając wprawdzie duchową władzę papieża, świeckiej mu odmawiają. Z tego zaś wynika, iż skoro Rzymianie czczą Mickiewicza, *literata* ten musi być w oczach *Czasu* co najmniej, koszerno-teutońskim liberałem, a skoro rada miasta Lwowa zgromadza się in pleno (z wyjątkiem umarłych lub nieobecnych w mieście członków) i jednogłośnie dziękuje Rzymianom za oddanie czci Mickiewiczowi, to rada ta także buntuje się przeciw świeckiej władzy papieża, i przeciw papieżowej władzy *Czasu*, i przeciw wykładom hr. Stanisława Tarnowskiego!...

Uwagi te, jakby piorun jaki, strzeliły mi do głowy, a im głębiej je rozbieram, tem bardziej przychodzę do przekonania, że Lwów od czwartku stracił wszelką łaskę w oczach decydujących sfer krakowskich. Jaka to zresztą obciążająca okoliczność, że wnioskodawcą był członek akademii, były profesor, a obecnie kurator Zakładu, umieszczonego w lokalu poklasztornym! I jakie będą rezultaty tego stanu niełaski, w jakie miasto nasze popadło!

Drżyjcie niegodni! Zachciało wam się wystawy? A co będzie, jeżeli p. Zieleniewski nie nadeszle wam swoich maszyn, p. Szczepański swoich pomysłów ekonomicznych, p. Armułowicz swoich kiełbas, a p. Wencel swoich broszur? Co będzie, jeżeli wasz burmistrz, wyliczając w przemówieniu inauguracyjnem wszystkich obecnych przy uroczystości *wieców*, nie będzie mógł wyszczególnić między nimi p. Zyblikie-*wicza?* O Łyczakowie, i Chorążczyzno! O, Sodomo i Gomorrho! *Dziennik Polski* twój nazbyt ociążał, a *Pogadankarz* twój nadto rozmnożył się, i będziesz wyplenioną z powierzchni p. Kłobukowskiego, i oblicze ks. Skrochowskiego odwróconem będzie od ciebie na zawsze!

Panie autorze „Listów z Galicyi" w *Gazecie Polskiej*, umiłuj się i ulituj nad nami i nie daj srogiej *kontry mizerce* naszej, ani też nie zaginaj *parola* na nieświadomość naszą! Jak ciocię Przedlitawię i babcię Autonomię kochamy, tak nie wiemy nawet, gdzie leży Rzym, i czyli Kapitol jest tam „Starą Tandetą," czy „Nowemi Jatkami!" Miłosierdzia i litości!

Jan Lam.

BIBLIOGRAFIA

polska.

— Powszechne prawo prywatne austryackie dla użytku podręcznego, ułożył Dr. Ignacy Szczęsny Czemeryński. Wydanie drugie według najnowszego stanu ustawodawstwa przerobione i zbiorem orzeczeń sądu najwyższego uzupełnione. Tom I. zeszyt 1 i 2. 8ka str. 144 i X. Lwów 1877. Z przedpłatą na zeszyt następny 2.25.

Treść: Słowo wstępne do 2go wydania. Słowo wstępne do wydania pierwszego, uwagi końcowe do wydania pierwszego. Patent obwieszczający z dnia 11 lipca 1811 r. Wstęp. O ustawach cywilnych w ogólności. Rozdział drugi. O małżeństwie. Ustawa z dnia 9 kwietnia 1870 r.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— *Wiek* z listu prywatnego dowiaduje się, że w Wilnie pod redakcyę p. Chełmińskiego ma wychodzić pismo peryodyczne w języku polskim p. t. „Wilia." Główny zarząd Prasy w Petersburgu udzielił już koncesyę na takowe. Bliższe szczegóły nie są nam wiadome.

— Znany pracownik na polu oświaty ludowej pan Kazimierz Promyk, puścił świeżo w świat swój Elementarz ścienny w drugiem już wydaniu. Oby i to wydanie również jak i pierwsze, doznało powodzenia! Elementarz ten bowiem odznacza się wielką praktycznością i zasługuje na jak największe rozpowszechnienie, do którego ogół nasz przyczynić się powinien.

— *Kronika Codzienna*, pismo polityczne, wychodzące dotąd pod redakcyą p. Liberata Zajączkowskiego, zaprzestało wychodzić.

— W odcinku *Gazety Sądowej* warszawskiej wychodzić zaczęła praca p. Kasparka prof. Wszechnicy Jagiellońskiej pod tytułem: „Kobieta i jej stanowisko w rodzie, społeczeństwie i państwie."

— Obraz Henryka Siemiradzkiego „*Sprzedaż amuletów*" po powrocie z Filadelfii przybył na wystawę warszawską i ściąga tam tłumy publiczności.

— W Petersburgu zawiązała się spółka amatorów malarstwa, celem nabycia „Pochodni Nerona" Siemiradzkiego. Za obraz ten znakomity, jego twórca żąda 40,000 rs. Znowu jeden z obrazów przynoszących krajowi naszemu sławę, zagrzebanym będzie u obcych!

— Pan Kazimierz Alchimowicz, artysta-malarz, znany z pomieszczanych na warszawskiej Wystawie Zachęty Sztuk Pięknych, prac swoich, od lat kilku bawiący za granicą, obecnie dyrektor pracowni malarskiej na porcelanie, słynnej fabryki w *Fontainebleau*, w przyszłym miesiącu powraca na stałe mieszkanie do Warszawy.

— Sukcessorowie Juliusza Janin w Paryżu osiągnęli ze sprzedaży pozostałych po nim ruchomości 73,000 fr. Obecnie trwa wyprzedaż biblioteki zmarłego. Pierwszego dnia licytacyi wpłynęło z tego źródła 9,000 fr. Pragnących kupna, stawia się bardzo wielu.

— W Grecyi wychodzi 109 czasopism, z tych 82 politycznych. Ateny wydają ich 52, resztę prowincya. Oprócz tego, w Turcyi drukuje się sporo gazet w greckim języku.

— W dniu 21 z. m. w Paryżu odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru Karol Marchal, malarz powszechnie ceniony, z którego dzieł najwyższe uznanie przyniosły mu: *Choral Lutra*, *Penelopa i Fryne*, *Wieczór i poranek*. Uprawiał on malarstwo rodzajowe i celował szlachetnością stylu.

Wystawy.

— Belgijskie „Północne Towarzystwo agronomiczne" ogłosiło na 18 sierpnia r. b. otwarcie międzynarodowej wystawy koni, bydła, maszyn, narzędzi i produktów rolniczych w Anvers. Program wystawy rozesłany zostanie niebawem znaczniejszym agronomom krajowym i zagranicznym. Królewskie towarzystwo ogrodnicze posiadać będzie oddzielny pawilon.

— W d. 30go maja rb. w mieście Inowrocławiu, regencyi Bydgowskiej, nastąpi otwarcie wystawy przemysłowej rolniczej. Według otrzymanego od zarządu drogi żelaznej wschodniej, zawiadomienia, opłata od machin, bydła, koni itp. na rzeczoną wystawę wysyłanych, pobierać się będzie w całości w tamtą stronę, z powrotem zaś wspomniane przedmioty, na mocy uzyskanego świadectwa od komitetu wystawy, przewożone będą bezpłatnie. Osoby dozorujące przedmiotów na wystawę przesłanych, mogą podróżować w wagonach klasy 3ciej za kupieniem biletu klasy 4-tej.

Z dziedziny nauki.

— Francuski minister oświecenia ustanowił komisyę, która ma zastanawiać się nad tem, w jaki sposób można robić fotogramy pamiątek historycznych francuskich bez kosztów dla państwa. Wydział postanowił utworzyć w ministerstwie tem pracownię centralną dla fotografii, takowa ma zawiązać stosunki z konserwatorami biblioteki i archiwów, aby jej podawali swe rękopisma, pamiątki itd., któreby miały wartość dla zakładów naukowych i dla tego mają być fotografowane.

— Siedmdziesiąt jeden lat przeżyło już Towarzystwo medyczne w Wilnie, jak z sprawozdania jego za rok 1876 widzimy. W przeciągu roku, członków było honorowych 18 i zwykłych 272. Z czterdziestu towarzystwami naukowemi, prowadziło i zawiązywało wileńskie Towarzystwo stosunek. W roku było 9 zebrań porządkowych, 1 nadzwyczajne i 1 roczne. Dochód korporacyi za rok sprawozdawczy wynosił rs. 653, rozchód 499.

— Obserwatoryum astronomiczne Warszawskie obchodziło niedawno 68mą rocznicę swego założenia. Myśl wzniesienia jego, jako też urządzenie wewnętrzne zawdzięcza ono Franciszkowi Armińskiemu, który pierwszy sprawował obowiązki dyrektora tutejszego obserwatoryum. Wykonaniem planów i samą budową zajmował się Piotr Aigner budowniczy. Gmach obserwatoryum w r. 1872 został przebudowany stosownie do wymagań czasu, zasoby zaś jego obecne składają się ze stu kilkudziesięciu narzędzi fizycznych i matematycznych i z dwustu aparatów astronomicznych. Nadto w miejscowej bibliotece poświęconej wyłącznie dziełom specyalnym znajduje się tysiąc kilkaset dzieł, zawartych przeszło w dwóch tysiącach tomów.

Wynalazki.

— W Anglii zrobiono bardzo ciekawy i pożyteczny wynalazek, a który powinien być koniecznie zaprowadzony w użycie we wszystkich strażach ogniowych. Mówimy tu o aparacie, dozwalającym oddychać swobodnie bez przerwy, przynajmniej przez pół godziny w najgęstszym dymie. Aparat ten, pomysłu prof. Tyndalla, składa się z cylindru, mającego objętości około jednego decymetru, łatwo dającego się do ust przymocować. W cylindrze tym znajduje się kilka warstw, po sobie naprzemian idących, jedna z waty nasycone gliceryną, druga z węgla. Tym sposobem tworzy się aparat, filtrujący i absorbujący zarazem; wata bowiem zatrzymuje cząstki węgla przez dym unoszone, węgiel zaś, ze swej strony, zgęszcza w swoich porach, węglowodory, które tworzą się przy gorzeniu, bez dostatecznego przystępu powietrza, i jak wiadomo, drażniąco działają na organy oddechowe. Tyndall robił różne próby ze swoim respiratorem przy kapitanie Shaw, naczelniku straży ogniowej w Londynie, a pierwsza próba miała miejsce w pokoju całym z kamienia zbudowanym. Trzy piece napełnione drzewem sosnowem, smolnem i zapalono odrazu, nie otworzywszy zasuwek. Tyndal wszedł do tego pokoju, uzbrojony w swój aparat, gdy ogniska dobrze już były rozpalone; drzwi za nim zamknięto. Po upływie pół godziny, profesor wynalazca wyszedł — prawda, że porządnie zasmolony, ale oddech miał zupełnie swobodny, co przekonało kapitana Shaw'a o doskonałości i praktyczności wynalazku.

Szkoły.

— *Pokrok* donosi, że na Uniwersytecie pragskim było w roku 1841 na wydziale teologicznym 240 studentów, na prawnym 636, na medycznym 405, na filozoficznym 72. W roku zaś 1876 na wydziale teologicznym znajdowało się 85, na prawnym 313, na medycznym 287, a na filozoficznym 595.

Konkursy.

— Komitet Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie na posiedzeniu swem d. 1 (13) marca rb. odbytem, postanowił ogłosić i niniejszem ogłasza konkurs na temat: „Rysunek z przekrojem poziomym albo płaskorzeźba urny do zbierania wotów na ogólnem zebraniu członków Towarzystwa mającej wykonać się w bronzie." Praca konkursowa powinna być wykończoną i posiadającą wartość artystyczną. Wysokość urny, mająca być zachowaną i w projekcie, wynosi cali 18, z pokrywą zaś cali 21. Termin przedstawienia pracy konkursowej wyznacza się za trzy miesiące od daty niniejszego ogłoszenia. Nagroda konkursowa wynosi rs. 70 (siedmdziesiąt), które niezwłocznie autorowi pracy uznanej za najlepszą z czyniących zadosyć warunkom konkursu wypłacone będą. Praca konkursowa nagrodzona, zostaje własnością Towarzystwa.

— Rząd kolonii Viktoria (Australia), wyznaczył tysiąc funtów szterlingów nagrody za najlepszą żniwiarkę, któraby zarazem zbierała i wiązała snopki. Konkurs trwać będzie do końca roku bieżącego. Na sędziów wyznaczoną została osobna komisya.

Jubileusz.

— Założyciela szkoły weneckiej, w malarstwie, mistrza Giorgio Barbarella, zwanego także Giorgione, zamierza uczcić pamięć rodzinne jego miasto Castelfranco w Weneckiem, uroczystym obchodem czterechsetnej rocznicy urodzin Barbarelli, przypadającej we wrześniu roku bieżącego i wzniesieniem przy tej sposobności wspaniałego pomnika. Barbarelli umarł w r. 1511.

Statystyka.

— Ciekawe studyum p. t. „O manii samobójstwa w teraźniejszych czasach," zamieszcza w swych szpaltach niemieckie czasopismo „Gesundheit." Autor mianuje nasze stulecie, wiekiem samobójstwa, ponieważ statystyka wykazuje nader smutne i straszliwe rezultaty w tym względzie. W Germanii od początku b. stulecia do r. 1857 wyliczono 300,000 wypadków samobójstwa; obecnie w ciągu jednego roku zdarza się ich około 4,000 w liczbie samobójców wiele dzieci, których rozczarowało życie wprzód nim je poznać były w możności. Kobiety stanowią czwartą część ogólnej liczby; wypadki te najczęściej się przytrafiają osobom w wieku lat 40 — 60; wiosną i jesienią bywają obfitsze niźli latem i zimą; z każdym rokiem cyfra tych nieszczęśliwych znacznie się powiększa. Autor rozumując o przyczynie tego zła, coraz silniej wkorzeniającego się w bardziej ucywilizowanych sferach społeczeństwa i niszczącego jego siły wnosi, że główną winą tego nieszczęścia jest „zmalenie energii niezbędnej do walki z przeszkodami na drodze do życia. Hygiena oddawna dąży do tego, by osłonić ludzkość od dolegliwości ciała — lecz jakże pomódz męczarniom ducha, ciążącym nad nami? Do tego potrzeba by zmienić cały ustrój życiowy społeczeństwa — rzecz niemożebna; a przeto, pozostaje tylko ześrodkować całą uwagę na wychowanie dzieci.

ROZMAITOŚCI.

— W pismach zagranicznych znajdujemy oryginalną anegdotkę odnoszącą się do współzawodnictwa, z jakiem ubiegają się narody europejskie i Stany Zjednoczone Ameryki, w braniu w posiadłość licznych wysp Oceanu Spokojnego. Rzecz dzieje się na wyspie Sosen (ile des Pins). Korweta angielska zarzuca kotwicę w dogodnej przystani, jej komendant przyzywa na pokład jednego z wodzów najbardziej na wyspie szanowanych i powiada mu, że potrzeba ażeby obrał sobie flagę. Jakkolwiek dziki i obyczajów europejskich nieświadomy Indyanin, zrozumiał po wystawnej wspaniałości z jaką go przyjmowano, iż o coś ważnego chodzi, odpowiedział zatem: „Uczynię chętnie co mówisz, ale muszę wprzód poradzić się z innymi wodzami.“ Anglikowi pilno było, gdyż miał objąć w posiadłość wyspy Viti, o które Stany Zjednoczone się starały, przystał więc na słowa Indyanina. „Rozmów się więc z wodzami, ja wrócę na nowiu księżyca i wtedy rzecz ukończymy.“ Na nieszczęście Anglii, Vandegon, ów wódz, był chrześcianinem, a na wyspie przebywał ks. Goujon, missyonarz francuski i wielkie poważanie miał u wyspiarzy. Do niego wódz udał się po radę. „Ojcze, co ludzie biali rozumieją przez obranie flagi?“ — „To znaczy, że stajesz się tego samego narodu co i biali, a ich wielki wódz staje się twoim wodzem.“ — „Jakto? więc moje chaty, moje czółna, moje kokosowe drzewa, moje pola zasiane patatami, już nie do mnie należeć będą?“ — „Bynajmniej, tylko wielki wódz białych, którego przyjmiesz flagę, będzie dla ciebie większym przyjacielem niż inni biali, i będzie cię bronić gdy kto zechce zabierać twoje chaty, czółna i kokosy.“ — „A więc dobrze, wezmę flagę, ale nie chcę innej tylko flagę wielkiego wodza Francuzów.“ Na czas oznaczony korweta angielska zarzuciła kotwicę, oficerowie i majtkowie wdzieli swe paradne, czerwone mundury, na stole przybranym okazale leży akt gotowy i stoi kałamarz, w którym tylko wódz indyjski palec umoczy, aby u dołu aktu znak krzyża położyć. Wszystko tak urządzono, ażeby tej ceremonii jak największą nadać uroczystość. Vandegon przybywa w towarzystwie wodzów swego plemienia. Poważny jest i spokojny jak Indyanin, gdy myśli o jakim wybiegu. Komendant czyni mu tysiączne grzeczności. — „Mam nadzieję, że już zdecydowałeś się przyjąć flagę, kazałem przygotować dla ciebie zupełnie nową, patrz jaka piękna, jak wspaniale powiewać będzie nad twoją chatą.“ — „Tak, postanowiłem mieć flagę, ale twojej nie chcę, mam już jedną!“ I dumnie rozwija flagę, którą mu własnoręcznie uszył ks. Goujon, a którą dotąd starannie ukrywał. Na widok ten, Anglik rozgniewany, że go tak w pole wyprowadzono, zaklął po żeglarsku i tak potężnie w stół uderzył pięścią, że aż kałamarz wraz z przygotowanym aktem, potoczył się na ziemię rozlewając strugę czarnego atramentu. Indyanin zawsze poważny, spokojnie wsiadł do czółna wraz z towarzyszami, lecz pierwszą jego czynnością, przybiwszy do brzegu, było zapytać się ks. Goujon, co biali ludzi chcą oznaczyć przez silne o stół uderzenie pięścią i rozlanie czarnego płynu? „To oznacza, że w wielkim gniewie być muszą“— odpowiedział ksiądz. Co usłyszawszy Vandegon i wodzowie indyjscy, zapominając o swej powadze, wybuchnęli homerycznym śmiechem, uszczęśliwieni z figla wypłatanego Anglikom, których nie lubią. (Faure-Bignet, Nouvelle Calédonie).

— O zapomnianym sułtanie Muradzie, wygrzebują od czasu do czasu jakiś szczegół potrzebny do charakterystyki tego kilkutygodniowego władcy. Przewieziony przemocą z Czeraghanu do Top Kapou, owego ponurego pałacu, w którego wązkich galeryach padła niejedna strącona wielkość z jedwabnym sznurkiem na szyi, pozostaje tam detronizowany Murad pod czułą opieką swej matki. Z nim dzieli losy istota, której romantyczny urok jakiś nadaje niezwykłego interesu w historyi domowej ostatnich sułtanów. Oto kiedy Murad był jeszcze księciem, szeptano sobie na dworze stambulskim, iż rozkazał on wraz z dziećmi swego przybocznego lekarza wychowywać piękną czerkieskę według zwyczajów europejskich. Nadobną Blankę uważano, jako przyszły kwiat haremu książęcego, a szczególniejsze zajęcie się Murada dziewczynką, jako fantazyą pańską i nic innego. Losy wprowadziły księcia na tron sułtański, a wtedy ze zdziwieniem dowiedziano się, iż Blanka nigdy progów haremu nie przestąpi, nigdy nie będzie upajającym kwiatem wschodnich rozkoszy dla swego... ojca, bo pokazało sie, iż Blanka była córką Murada i to prawdopodobnie z matki europejki. Co tylko czułość ojcowska stworzyć mogła dla ukochanego dziecka, wszystko to z komfortem i zbytkiem otoczyło piękną Blankę w owym krótkim czasie panowania jej ojca. Apartament sułtańskiej córy składał się z dwóch przepysznych pokojów wybitych niebieskim jedwabiem w Dolmabagdże, a koszt wybicia makatami tych zbytkownych puzderek dla klejnotu padyszacha wynosił tylko 80,000 franków. Piękna Blanka niestety nie mogła się długo rozkoszować swojem malutkiem niebem, bo roboty około niego zostały właśnie ukończone, kiedy jej ojca z tronu usunięto. Dzisiaj rozpieszczone dziecko przy boku ojca wzdycha gdzieś u wązkich okien Top-Kapou i rozmarzone chwilą krótkiego szczęścia śni o jedwabnem gniazdku w Dolmabagdże.

— Dwie nowe zdobycze naukowe zajmują i uczony i nieuczony świat paryzki. Pierwszą jest odkrycie nowego roztworu chemicznego, w którym namoczone najrozmaitszego rodzaju tkaniny, zacząwszy od grubego płótna i sukna aż do najdelikatniejszych materyi jedwabnych, muślinów i koronek, po wysuszeniu nie tracąc ani koloru, ani połysku i miękkości, stają się najzupełniej niezapalnemi. Kilkakrotnie wykonywano już próby z tak przyrządzonemi tkaninami, a w tych dniach, w obecności delegowanych z zarządu miejskiego, z dyrekcyi niektórych teatrów i reprezentantów prasy, w mieszkaniu wynalazcy, przy bulwarze Voltaire N. 145, przygotowano łóżeczko z cienkich deszczułek z materacem z płótna, wypchanym słomą, z firankami perkalowemi, obszytemi muślinem i gazą, a na niem położono dużą lalkę, ubraną w różnokolorowe materye jedwabne. To wszystko na parę dni pierwej napojono nowym roztworem i następnie wysuszono. Na próbę postawiono pod łóżkiem doniczkę z węglami i drobnem drzewem, a do firanek i ubrania lalki przykładano zapalone zapałki i drzazgi, ale nic nie chciało zapalić się płomieniem; najcieńsze materye trzymane w ogniu, trawiły się niejako bardzo powolnie, ale nie zapalały się wcale. Doświadczenia te, nie pozostawiające żadnej wątpliwości co do zupełnej skuteczności nowego preparatu, mają być wkrótce odbywane publicznie i na większą skalę, a w obec tak częstych nieszczęśliwych przypadków śmiertelnego nieraz poparzenia, szczególniej dzieci, zostawionych bez dozoru w bliskości ognia i świeżego smutnego zgonu sędziwej margrabiny de Montebello, która zdrzemnąwszy się przy kominku, zapaliła suknie na sobie i w kilka godzin wśród strasznych cierpień umarła, należałoby wszelkiemi drogami, a przedewszystkiem głosem prasy przemawiać za jaknajogólniejszem wprowadzeniem w użycie tego ubezpieczającego przyrządzania, aby je uczynić przystępnem ogółowi. Ubezpieczenie dekoracyj i ubiorów teatralnych ma być przymusowo wprowadzone. Drugi wynalazek nie ma wprawdzie takiej doniosłości, ale za to daleko więcej o nim mówią w całym Paryżu. We wszystkich prawie oknach sklepowych widzieć można małe ozdobne doniczki to z krzackiem róży, to z gałązką hyacyntu, tulipanu itp. i z kartą, na której wydrukowane są następujące wiersze:

Lorsque je suis couleur de rose
Ne sortez pas sans votre en-cas.
Quand ma teinte tourne ae lilas,
Le temps à changer se dispose;
Mais si vous me voyez d'azur,
Comptez sur un ciel calme et pur.

Co na prozę przetłumaczone, znaczy, że kiedy powietrze jest dżdżyste, kwiaty te (sztuczne z perkalu) są pięknego różowego koloru, kiedy się wypogadza, przechodzą w lekko fioletową barwę, a przy zupełnie suchem, pogodnem powietrzu, stają się ciemno-błękitnymi, prawie szafirowymi, naturalnie o ile wystawione są na przystęp zewnętrznego powietrza, bo w pokoju dobrze zamkniętym, a szczególnie opalonym, pokazują zawsze błękitną barwę, choćby na dworze deszcz padał. Na otwartem powietrzu barwa rzeczywiście zmienia się odpowiednio do większej lub mniejszej wilgoci, tylko właściwie nietyle jako przepowiednia, ale jako świadectwo „post factum.“

— Pewien chłopczyk 14-letni na prowincyi we Francyi obdarzony jest tak nadzwyczajną pamięcią, że jak dzienniki miejscowe donoszą, przejdzie on zapewne rozgłos sławnego pod tym względem Pic de la Mirandola; nauczył się bowiem, zaledwo umiejąc po grecku, całej Iliady Homera w 5ciu dniach, słowo w słowo na pamięć. La Patrie czyni uwagę, że nie jest to taką nadzwyczajnością, jakby się na pozór wydawać mogło i powołuje się na świadectwa starożytnej historyi. Mitrydates, pod którego berłem żyło dwadzieścia rozmaitych narodowości, do każdej przemawiał w jej języku i każdego żołnierza armii wymieniał po nazwisku. To samo opowiadają o Cyrusie, królu perskim, Temistoklesie, Scipionie azyatyckim, cesarzu Adryanie i Ottonie, który temu tylko darowi panowanie swoje zawdzięczał. Temistokles nauczył się w ciągu roku języka perskiego, który jest jednym z najtrudniejszych. Ktoś doradzał mu środek zaostrzenia pamięci: „Wolałbym, rzekł Temistokles, żebyś mi podał środek zapomnienia czego chcę.“ Hortensiusz jeden z mowców Rzymu, miał pamięć tak wierną, że pomyślawszy nieco nad mową, którą miał powiedzieć, wygłaszał ją, nie mając żadnych piśmiennych notatek, wyraz po wyrazie jak ją sobie ułożył. Pamięć jej dochodziła do tego stopnia, że raz założył się z współobywatelem swoim niejakim Sisenną, że spamięta szczegóły licytacyi odbywającej się przez cały dzień, i rzeczywiście, nie tylko wszystkie sprzedawane przedmioty po porządku wyliczył, ale cenę każdego i nazwisko nabywcy, co sprawdzał woźny patrząc w książkę, w której wszystko było zapisane. Lipsius, sławny mowca umiał na pamięć całą historyę Tacyta. Seneka mówi o sobie, że raz o zakład powtórzył 2000 oderwanych wyrazów w tym samym porządku, jak mu je wyliczono. Wreszcie Ludwik III, król francuski, kiedy armia miała się zgromadzić na równinie Saint-Maurice pod Piveros, a nikt nie pamiętał, pomimo, że obozowała tam przed rokiem, ani położenia, ani dróg jakie do niej prowadziły, wziął pióro i odrysował mapę okolicy z taką dokładnością, że nie brakło żadnego szczegółu, ani nazwy miejscowości. Ludwik XIV nie ustępował mu także pod względem pamięci. Spotkawszy raz nieznajomego człowieka rzekł: „Czy nie należysz do dworu księcia ***, poznaję cię po sprzączkach u trzewików, które jego były własnością. Innym razem musztrując muszkieterów rzekł do jednego z nich: „Wszak to ty, któremu przed 5ciu laty ukradziono konia“ I rzeczywiście tak było.

— Starzy Egipcyanie pewno za życia nie marzyli o tem, że w kilka tysięcy lat po śmierci zabalsamowane i starannie przechowane ich ciała, znane pod nazwą mumij, pójdą w 19tym wieku po nar. Chr. na pastwę prostej spekulacyi. Jak bowiem Washington Gazette donosi, nadaje się żywica, w której mumie egipskie są obwinięte, do wyrabiania brunatnej farby bardzo poszukiwanej przez malarzy. Zapewne więc przyjdzie do tego, że przemysłowcy obecnie gorliwiej zajmować się będą wykopywaniem mumij, aniżeli archeologowie i inni uczeni badacze.

— Uczony profesor Argulskiego w Aberdeen, Dr. Bain, wystąpił do rządu z projektem zastąpienia systematów przyjętych do odbierania życia ludziom na śmierć skazanych, przez systemat nowy, polegający na puszczeniu na skazanego silnego prądu elektrycznego, któryby w jednej chwili zabijał, nie narażając na męczarnie konania. Gazety angielskie bardzo popierają projekt Dr. Baina.

Treść Nr. 32.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). **Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.**